



Między prawem a życiem

In vitro po polsku, czyli zalegalizowane bezprawie

Kościół katolicki zdecydowanie odrzuca in vitro. Ten brak zgody wynika z dwóch względów etycznych. Pierwszym jest wprowadzenie przez omawianą metodę radykalnego oddzielenia miłości i aktu seksualnego od aktu prokreacyjnego. Drugim - częsta praktyka niszczenia niewykorzystanych do zapłodnienia zarodków, a nawet używanie ich jako materiału biologicznego do innych działań medycznych. Sprzeciw wobec in vitro z obydwu powyższych powodów wyrażał Jan Paweł II m.in. w encyklice *Evangelium Vitae*. W wydanym 24 czerwca specjalnym komunikacie zespół ds. bioetycznych Konferencji Episkopatu Polski przestrzega przed stosowaniem tej metody. A co można powiedzieć na ten temat o ustawach i aktach wykonawczych tworzących aktualnie obowiązujący w Polsce system prawa? Czy ich stanowisko w tej sprawie jest równie klarowne? Otóż nie. Wprost przeciwnie, określiłabym je jako wyjątkowo zagmatwane.

„Zalegalizowano bezprawie” – w taki sposób jeden z uczestników dyskusji na portalu www.rynekzdrowia.pl skwitował wprowadzenie od 1 lipca tego roku zasady opłacania z budżetu państwa zabiegów zapłodnienia pozaustrojowego. Czy internauta przesadził? Niestety nie. Manewr wykonany przez rząd wywołał burzę, która nie cichnie od miesięcy.

Wątpliwości wywołuje nie tylko ta pozornie udana legalizacja przeznaczania publicznych pieniędzy na samo in vitro. Akcentuje się moralnie dwuznaczny, nacechowany hipokryzją sposób urzeczywistnienia tego zamiaru. Aby wyjaśnić, zatrzymajmy się

właśnie na opisie tej metody. Warto, bo za jej sprawą czczym frazesem stał się konstytucyjny zapis, jakoby Polska była państwem prawnym.

Zło zaczęło się nie od paragrafów, lecz od przeinaczenia znaczenia słów. Metoda in vitro nie jest leczeniem niepłodności, jak się o niej mówi, lecz szczególnym sposobem poczęcia życia ludzkiego. Po jej zastosowaniu żaden z partnerów nie staje się „wyleczony”, nie zostały usunięte ich niedomagania, wskutek których nie mogli się doczekać potomstwa w sposób naturalny. Co zatem się dzieje? To wiemy wszyscy: wykonawcom zabiegu in vitro powiodło się połączenie na szklanej laboratoryjnej płytce komórki jajowej i plemnika. Następnie udał się zabieg wszczepienia tak powstałego zarodka ludzkiego do macicy kobiety. Dzieje się to nie od razu, proszę PT Czytelników. Zarodek trafia do organizmu kobiety dopiero wtedy, gdy przyjdzie najlepszy czas po temu. Do tego momentu musi czekać zamrożony w temperaturze około -196 °C w ciekłym azocie.

Wyjaśniając, na czym polega omawiana procedura, nie sposób nie zauważyć, że opisany zabieg semantyczny („leczenie niepłodności” zamiast „sposób poczęcia dziecka”) przyniósł zaplanowany przez lobbystów efekt w postaci społecznej zgody na jej stosowanie. Z porażającą szczerością ujął to jeden z wiceministrów: *Niezależnie od oceny etycznej opisanych procedur medycznych w istniejącym układzie ocen społecznych nie jest możliwy pełen ich zakaz* – pisał przed ponad rokiem Michał Królikowski – podsekretarz stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości, odpowiadając na interpelację jednego z posłów. Co do zasad dostępności pomocny medycznej trudno byłoby się z nim nie zgodzić. Ludzie chcą, aby nie ograniczano świadczeń

medycznych i poszerzano ich zakres. Ufają też swoim lekarzom. Wielu z nich zostało więc przekonanych, że in vitro to normalna, nowoczesna i bezpieczna metoda leczenia. Przez wiele więc lat zdecydowało się na nią wiele par. Z lepszym lub gorszym skutkiem. Niektóre cieszą się potomstwem.

Co znamienne, nasze państwo i jego prawo długo do tego się nie mieszało. Trwał stan próżni prawnej. A że co nie jest zabronione, jest dozwolone, powstały wyspecjalizowane kliniki. Zaoferowały świadczenie „leczenia niepłodności”, a chętni – ze zrozumiałych względów osobistych nie czyniąc rozgłosu – przychodzili, wykładali wymagane kwoty i interes się kręcił. W procedurze teoretycznie wszystko stawało się możliwe i dopuszczalne (nie chciałabym twierdzić, iż faktycznie tak się działo). Wszelako każda klinika mogła ustalić sobie własne zasady. W tym także te dotyczące rozporządzania zarodkami. W powszechnie obowiązującym prawie nie było dotychczas zadowalająco czytelnego zakazu. Nie zabraniało nawet najbardziej nagannych czynności, takich jak eugeniczna selekcja zarodków, np. ze względu na przyszłą płeć dziecka. Nie odnosiło się do dokonywania manipulacji genetycznej lub wykorzystywania ich w takich celach, jak np. rozwój tkanek dla przeszczepów.

Wśród wyborczych obietnic premiera Donalda Tuska składanych w 2005 roku znalazła się i ta dotycząca ujęcia w ramy prawne procedur in vitro. Zatem w ubiegłej kadencji Sejmu posłowie próbowali uchwalić odpowiednią ustawę. Ponoć zgodnie chcieli, by problematyka in vitro znalazła odzwierciedlenie w odrębnym, kompleksowym akcie prawnym, który odda zgodne z konstytucją



założenia aksjologiczne, zagwarantuje odpowiednie rozwiązania instytucjonalne, zasady postępowania, a przede wszystkim – określi granice dopuszczalności. Dalej jednak zgody nie było. Odmienne poglądy na to, co można w tej materii, a co powinno być zakazane, prezentowali nie tylko posłowie różnych partii. Doszło nawet do ostrego konfliktu na łonie rządzącej Platformy Obywatelskiej. Obserwatorzy życia politycznego snuli domysły, że na tle in vitro dojdzie do rozpadu PO. Ale po całej wrzawie nastąpiła cisza...

W obecnej kadencji parlamentu do realizacji wcześniejszych obietnic premiera przystąpił minister zdrowia. Chociaż ustawy ciągle nie ma, ogłosił: *Przerywamy czas, kiedy o in vitro w Polsce dyskutowali politycy. Od dzisiaj decydować będą profesorowie.*

Inaczej mówiąc, minister ogłosił: hulaj ekspercie, prawa nie ma. Ty, ekspercie, ustalisz wszystko. To nic, że poprzednio ustawy nie udało się uzgodnić nawet z własnymi posłami, damy sobie radę sami.

W takich okolicznościach 1 lipca 2013 ruszył ministerialny program finansowania in vitro ze środków publicznych, czyli z podatków nas wszystkich – także tych, którzy metody tej absolutnie nie akceptują. Rząd przeznaczył na ten cel 67,3 mln zł. Jego oficjalna nazwa to „Program – leczenie niepłodności metodą zapłodnienia pozaustrojowego na lata 2013–2016”. Do uczestnictwa zakwalifikowano prawie 30 klinik. Za przyznanymi certyfikatami pójść pieniędzy.

Podsumujmy: z publicznych pieniędzy ma być finansowany program, który od strony prawnej jest zamierzeniem karkołomnym. Skoro Sejm nie uchwalił obowiązujących przepisów pozwalających na przeprowadzanie zabiegów in vitro, nie ma podstaw prawnych używania publicznych środków na taki cel. Tak byłoby w państwie prawnym...

Wszystko dzieje się w czasie zapaści służby zdrowia, kiedy właśnie przez permanentny brak pieniędzy

NFZ tysiące chorych Polaków bezskutecznie czekają na leczenie. W momencie, gdy media dokumentują zapaść pediatrycznej opieki zdrowotnej i giną dzieci, do których pomoc nie dotarła na czas.

Gdzie tu sens, gdzie logika? Z jakiego powodu minister zdrowia i jego urzędnicy postawili prosty znak równości między ratowaniem już istniejącego życia, a spełnieniem czyichś marzeń o posiadaniu dziecka? Niektórzy utrzymują, że dzieje się to nie w imię rozwoju medycyny, lecz bezmyślnego postępowania. W imię filozofii środowisk, dla których Kościół katolicki i jego nauczanie jest naturalnym wrogiem. Przecież to za ich sprawą medycyna, stosując wobec człowieka metody przystające raczej do hodowli bydła, przypomina weterynarię.



ŻANETA SEMPRICH-
-FOROWICZ

W ogrodzie wspomnień (32)

Kochani Czytelnicy Magazynu Parafialnego,

przesyłam serdeczności razem z upalnym anińskim latem. Zaplanowane wspaniałe wakacje na pograniczu polsko-litewskim nie wypaliły, ale lato w domu w Aninie rekompensuje, bo jest zawsze najpiękniejsze, musujące tysiącem spraw na czele z babciostwem – mogę powiedzieć takim na 100%. Nie ma czasu na nudę. Mimo lata z Medycyną spotykam się nieustannie i to jest To, i oczywiście jest pisanie, które niesie ciągle radosne niedowierzanie, że...

te ciepłe jeszcze wiersze przesyłam MP. Napisałam je z potrzeby serca – tak jak i wszystko inne dla Dwóch Tak Ważnych Drogich dla mnie Osób.

Przesyłam też dla Wszystkich najlepsze pozdrowienia.

Odwiedziłam tego lata dwa razy Komorów. Jest taki piękny, KOCHANY MÓJ KOMORÓW – WASZ KOCHANY KOMORÓW.

Aldona





CZY MOŻE BYĆ GDZIE INDZIEJ PIĘKNIEJ?

Z myślą o Kapłanie, Poecie i Przyjacielu
Księdzu Janie Twardowskim

*

Świt

Świt przyszedł do mnie wraz z ptasim świergotem.
Kotka już jest w ogrodzie – protesty, miałczenie.
W szarości, w prześwitach nieba zbłąkitnienie.
Bardzo delikatna zapowiedź pogody. Dzień szedł
przez zielenie jak szczypioerek młody. Wstałam.
Za mną obudzone słońce. Rejwach i tyle muzyki.
Słysząc pierwszy koncert. Chór ptasi hymn poranny
śpiewa wśród zieleni.

Rosa poi wszystko, perli się na ziemi.
Wiatru nie ma, bo gałązki w tak cichym bezruchu,
i nagle usłyszałam ten to wiersz Janowy,
witał on ze mną wszystko. Dzień się spiętrzał nowy.
Czy może być gdzie indziej lepsze przebudzenie,
jak z tym wierszem w sercu,
z tak dobrym wspomnieniem
Kapłana i Poety, że dziękować trzeba i wiedzieć,
że to z Ręki Pana i ziemi, i nieba? Szepczę strofy,
przystaję, a świat sobie goni. W dzień idę odważnie
w RYTMIE BOŻEJ WOLI.

Rankiem

Kosić już dziś trzeba. Trawnik wzmocnić,
zieleń rozzielenić,
zapachy pokosu wpleść w zapachy ziemi.

Czerpać radość.

– Trawa po tych twoich fryzjerskich zabiegach
ostrzyżona na jeża – rzekł mi jeż – kolega.
Czy może być gdzie indziej piękniej niż tu
– przy koszeniu
z aprobatą trawy w słonecznym półcieniu?
Z akceptacją szpaków?
Przecudna gromada ucztuje na trawniku,
a ja wcześniej rano depczę rosę i koszę,
wonne sypiąc siano.
Miesza się z powietrzem to moje koszenie,
perfumuje rozkosznie i niebo, i ziemię.
Tylko jazgot kosiarki... Nornica, pan krecik.
Ona zakłada chusteczkę, on czarny berecik,
bo tego nie lubią, a ja w tym hałasie rozmyślam,
że jestem tutaj w najcudniejszym czasie.
Układałam w myślach wiersze.
To Tyś nam przymnożył tyle cudów właśnie tu,
w RYTMIE NATCHNIEŃ BOŻYCH.

W południe

A gdy południe w słońcu tak tu się kokosi
i chętnych cienia
w ten cień wdzięcznie prosi niczym ta pierwsza z raj
matka nasza, Ewa, daleka jeszcze jabłka;
coś nucę i śpiewam,
a blask wszystko wyłącza. Czy może być gdzie indziej
owa słonka praca piękniejsza niż tu,
w malutkim ogrodzie,
gdzie tak w żółciach pod rękę z cieniem sobie chodzi,
a kiedy pali ono najgoręcej,
pod mirabelką cienia jeszcze coraz więcej.
Płonie aż nazbyt palące,
że pisać chce się wiersze cienisto-gorące.
Promienie, kiedy padają, wysycają słowa,
a i cień je karmi.
Myśl przypląwa nowa i w wiersz się obraca.
Ja wiem, że to z tęsknoty,
to wszystko, co się dzieje, o tak, krok po kroku,
cień i słońca blaski
rodzi się, ciągle rośnie w RYTMIE BOŻEJ ŁASKI.

Wczesne popołudnie

Chwila odpoczynku. Ciasteczka Gabrysi.
Ukrop czarnej kawy. Dzień taki zwyczajny,
a jednak ciekawy. Kotka czyścioszka
łapki swoje myje, chwilę potem ja kawę,
ona mleko pije. Och! Jest tak, jak lubię.
W sercu taką chwilę pieszczę i hołubię.
Ptasia drzemka w gniazdach. Wiewiórka mateczka
fuka na mnie z sosny. To nie jest bajeczka.
Naraz dziecko z budki wyciąga i niesie...
O święte macierzyństwo! Robię spieszenie foto,
a tęsknotę za matką, strugę szczerozłotą czuję w tętnie.
Jak chce mi się płakać,
ale czy gdzie indziej jest piękniej?
Więc lży w wierszu płyną za mateńką, a i te, radości,
że tyle dla nas tu darów w RYTMIE TWEJ MIŁOŚCI.

O zachodzie

Czy może być gdzie indziej piękniej niż tu o zachodzie?
To współlistnienie nieba i sosen w tym małym ogrodzie.
Ten koncert barw nad drzewami, ta cisza gorętsza
od wrzenia w ludzkim sercu? O! Ręką Najświętszą!
Ten przestwór nad nami jest jak w dniu stworzenia,
bowiem co dzień go upiększasz, a i rozpłomieniasz
nas takimi barwy, takimi to dary, że tylko brać je,
czerpać z nich i dziękować, że człowiek jest częścią
cudów tego świata. Więc dziękuję! Wiersz piszę
i w pisaniu wzlatam. Nad sosny, w niebo o zachodzie,
a jestem na tarasie w anińskim ogrodzie i czuję
tylko ciszę i radość, i spokój i proszę, niech to trwa
jak najdłużej w RYTMIE BOŻYCH KROKÓW.

Anin, 13 czerwca 2013



Wczesny Wieczór

Powoli się zachód wieczorem wysycił.
Płynął nad ogrodem blady blask księżyca.
Nieba błękity, róże szarością tłumione
niosły wieczór czerwcowy w tym czasie ogromny.
Czy można gdzie indziej tak w ten wieczór wchodzić
z dnia pełnego czerwca niż tu w tym ogrodzie?
Uczestnicząc w spotkaniu wiosny z latem, co pieluszki
porzuca, a na małe nóżki zakłada butki z chabrow
i rośnie, tężeje pełne dnia. Wczesny wieczór
powoli się dzieje tak obfity w zapachy,
wonności koszenia. Naparstnic bicz kwietny
dotknął przesilenia dnia i w smudze rozproszonego
wieczornego światła przedostatni trel ptaków
w ostatni krzyk zadrzał. W gniazdku sen wczesny,
a wieczór czerwcowy przynosił na taras aromat lipowy,
lip kwitnących pod niebo tuż, tuż za plecami...
Wieczór przyspieszył kroku i już był za nami.
Komar bzyknał. Mała bitwa... i cisza.
Tyś jej nam przymnożył, by było tak jak trzeba –
w rytmie PLANÓW BOŻYCH.

Noc

Noc się wylania z wieczoru tak czysta i jasna,
gdzieś tam w świecie biała. Tu daleka gwiazda
na niebie o różnych odcieniach granatu
wyprzedza blady księżyc. Co przyniesie światu? –
przepływają myśli. Jak rybki się gonią.
Patrzę w ogród z balkonu, a zieloną tonią
jest wszystko, w dole murawa i krzewy –
falujące morze... Czyżby syren śpiewy? Nie,
to ja nucę pieśń Ewy, Anina, może swoją,
ta biegnie w zielenie, odbija się i faluje,
nocne płosząc cienie. W delikatnym wietrze
okręty-widziadła – tylko maszty prawdziwe
pieśń sosny dopadła. Czarne już, bo czas
na sen przyszedł i senność się siepie,
niesie sny anińskie. Czy można śnić lepiej
gdzie indziej niż tu, o nocy czerwcowej?
Brak mi słów – tylko pacierz jeszcze poszybował.
Kołodra się otulam, w dziecko się przemieniam,
zasypiam kołysana w rytmie TWEGO TCHNIENIA.

Anin, 27 czerwca 2013

TO JEST PRZYJAŹŃ

Obudziłam się już po pierwszym brzasku 13 czerwca
wraz z prądkowym miauczeniem spotęgowanym pokrzyki-
waniem ptaka. Bardzo późno wczoraj usnęłam – i to na-
gle. Burza pomrukiwała piorunami oddalając się za Anin,
a ulewny deszcz sycił wszystko. – Dobrze, że nie pognio-
tłam książek. – pomyślałam, patrząc na Piękną Pokorę
Stanisławy Fleszarowej Muskat i otwarty jeszcze na wier-
szu „Tren” największy zbiór utworów Księdza Jana Twar-
dowskiego. – Po co te łzy przy tej Fleszarowej? Czytam ją
tyle razy – pomyślałam i wstałam, otwierając szeroko drzwi
od tarasu i wyciszając głaskaniem kotkę. – Boże, daj pogo-
dę! Janowe Święto już za tydzień – westchnęłam, bo pię-
kno parującego w porannym słońcu w cieple czerwcowego
dnia ogrodu jak zawsze w takiej chwili uradowało mnie tak
mocno, że uszczypnęłam się, przypominając sobie kolej-
ność zadań na ten dzień.

Wiersz „O Zachodzie”, który napisałam wczoraj z myślą
o Poezie i Kapłanie na widok niesamowitego zachodu nad
moją głową, ciągnął jak magnes do komputera.

„Świt” i „Rankiem”, kolejne, zaistniały zapisane z ra-
dością.

Myśl, że Ksiądz Jan przepadał za takimi klimatami za
oknem w ogrodzie, w domu i do tego też tu, w Aninie, in-
spirowała do pisania, ale Sergiusz ogolony już i ubrany stał
nade mną z całusem porannym.

– Tak, oczywiście – powiedziałam niezbyt chętnie – te-
raz komputer twój.

– Najpierw przeczytaj – poprosił. – Przeczytałam. Wier-
sze podobały mu się.

– Jutro wstanę wcześniej... – mówiłam, idąc do mycia
i ubierania, bowiem w myśli słyszałam wiersz „W połu-
dnie”.

– Mamo! Najlepiej nie śpij wcale. Ale ja ci na to nie po-
zwalam! – powiedział mój pierworodny, grożąc mi palcem.

Wszystko robiłam jak we śnie, ponieważ wiersz układał
mi się cały czas i powtarzałam go, by nie zapomnieć.

– Ten mój pozał się Boże kok zrobiłam nieco krzywo, ale
tak naprawdę brak mi trzeciej ręki do pisania i...

– ...drugiego komputera – syn wpadł mi w słowa.

Zdążyłam jeszcze go zapisać i pomknęłam zaopatrzoną
w długopisy i kartki samochodem na Wolską do mojego
Szpitala Zakaźnego. Piękno szpitala jak zawsze ucieszyło
mnie, spotkanie z kolegami, z którymi pracuję od tylu lat,
było takie budujące, z chorymi, z tylu chorymi również.

– Tak poważnie chorują – myślałam, ale teraz to nie to,
co dawniej. Przedtem umierali, ślepli, wychodzili mimo le-
karskich wysiłków często okaleczeni przez chorobę. Dziś
Medycyna tak prze do przodu. Choćby w takiej cytomega-
lii – chorują, ale widzą, bo leczenie skuteczniejsze. „Wcze-
sne popołudnie” – wiersz dla Przyjaciela i Poety – pchał mi
się na zabrane kartki. Wracając, zaliczyłam dwa przystanki
na światłach awaryjnych, jeden koło skrzyżowania prowadzącego
z Trasy Łazienkowskiej w ulicę Ateńską i drugi w połowie
ulicy Ostrobramskiej.

Obiad, moje wnuczki Zosia i Gabrysia na muzyce, Staś
poławiacz ślimaków, Hania rysująca portret kota, moi ko-
chani dorośli, zdjęcia, które stały się moją pasją, pielenu-
cie w ogrodzie, stała myśli o pogodzie, o Janowym Święcie,
Janowym Konkursie wypełniły popołudnie.

– Jaki będzie ten tegoroczny Ósmy już Janowy Konkurs
organizowany przez Fundację AVE, oczko w głowie jej
Prezesa Bartka Włodkowskiego i nasze też, czyli jurorów?
Czekałam, tak jak wszyscy – niecierpliwie – na wiersze in-
spirowane twórczością Księdza.

– Może ja swoje wiersze napisane dla Niego pokażę
młodym i umieszczę w pokonkursowym tomiku, w przed-
mowie jurora, którą zawsze my, dorośli, piszemy – myśl
przyszła od mnie nagle i nurtowała.

– Pokażę – postanowiłam, bo przecież mówią one o tym,
co kochał Ksiądz Jan, pokazując taki zwyczajny i piękny



NIE MOŻNA GDZIE INDZIEJ

Mojemu Jerzemu

Brzask

Brzask wpadł do domu wraz z kotki miałceniem,
z pierwszym krzykiem ptaka, tamtym przytulaniem.

Świergotem przemknął blaskiem po ogrodzie,
przebrzmiały dreszcz od pięt poprzez ciało,
nic a nic nie chłodził. Biorę oddech...

Kiedy to się działo. Powietrze lekkie, rześkie,
jak wtedy nie pali, gdyś mnie w tym brzasku znalazł.
Miłość w takiej dali.

Nie można gdzie indziej, ale i bez ciebie
być jak ta poranna rosa, gdy się świat kolebie.

Brzask brzaskowi nierówny. Tyle lat to boli.
Budzi mnie kotka, ptaki – w rytmie TWOJEJ WOLI.

Ranek

Jak napojony deszczem ten czerwcowy ranek
zagląda w okna domu, z nim myśli niechciane.
Wcale nie chcę dziś wspomnień o tych rankach naszych,
o warzeniu porannym niczym sroczka kaszy. O kanapce
naprędce jedzonej, całusach, o na moment powrotach
i o tych pokusach, by zostać w domu. Nasza kawalerka
do szkół już poszła. Hipokrates zerkał na nas i na zegar,
nawet palcem groził.

Do pracy biegłeś nieraz w kapciach,
bo jej czas nadchodził. Ja potargana, tak zarumieniona,
szłam do chorego, nim poranek skończył.

Szczęścia nigdy dosyć.

Ranek piękny jest dziś. Jak Ciebie nie prosić,
o taką rozkosz i taki ból wspomnień? Nie można
gdzie indziej tak iść bezprzytomnie jak my w dzień.

Coś się we mnie łamie. Pozostaw mi o tym
choć dobrą pamięć, a wejdę w dzień nowy
może i bez drżenia. Wszak wszystko żyje w rytmie
TWOJEGO WSPOMNIENIA.

Popołudnie

Nasze popołudnia tyś później zaczynał.
Biegłeś ulicami Komorowa, Ursusa, Anina.

Latający laryngolog – sąsiedzi mówili.
O miłości święta! Powroty nasze do domu
tak dobrze pamiętam. Pocałunki...

Kwiaty od pacjenta wyjmowałeś z teczek.
Były takie zmęczone, bardzo rozzłoszczone,
piły wodę z wazonu niemal jak szalone.

Moje od ciebie kwiaty. O słodkie wzruszenie!
Zapach ich jeszcze czuję i koloru drżenie.

Później tyle spraw w domu. Minuty się pała.
Tyle dobrego w nim razem już jest taką dałą.
Życie szło do przodu tak w tętnie miłości...

Gdyby nie to jabłko... Te potopu wody...
My w arce razem. Trwamy, choć okaleczeni.
Nie można gdzie indziej bez o siebie wsparcia
wyjść z potopu i leczyć rany i otarcia.

Tyś nam Swój Palec podał, osuszył ogrody
i dał razem – to dalej w cało brzmiącej gamie.
O najcudowniejsza! O przekłeta pamięć!

Tak nas w miłość wpleść, utkaną z zachwyty,
w rytmie TWOICH PRZEBACZEŃ!
Czy i NIEDOSYTU?

Wieczorem

Cały dzień i wczesne popołudnie to była ta praca,
do której nasz dom się wznosił i nami wyłączał.

Czekaliśmy na wieczór, bo wtedy rodzina
była razem najbliżej... Pamięć przypomina...

Czytaliśmy synkom, leżysz na dywanie
i z lekkim przestachem patrzysz nagle na mnie.

Płakałam, bo Nemeczek, tyś spił lzy ustami.
Pamiętam... zarost drapał policzków aksamit...

Ogień pod rękami był już chwilę potem,
gdy wieczór czerwcowy wolno w granat wchodził,
malcy sny gonili, tyś mnie z wszystkim godził.
Nie było pośpiechu, po wszystko kolejek, strajku
w stoczni, w fabrykach, gdy się krzywdą dzieje.

Nawet moja pacjentka Kasia nie umarła,
bo cały ból skupiony, tak gdzieś w węzle gardła,
pieszczota za pieszczotą supeł zacieśniony,
rozwiązała i Miłość szła sobie z nami,
dając ukojenie i nie było przeczuć...

Tylko ucieszenie i radość, że gdzie indziej
lepiej być nie może, bo i noc przychodzi
po dniu, w rytmie PLANÓW BOŻYCH.

Noc

Po długim wieczorze noc idzie czerwcową
jasna przez chwilę długą, potem granatowa.
Nie może być gdzieś ona bardziej wysycona.
Dlaczego nie jest dla mnie miłością szalona?

Jeszcze słychać szum zza drzew od ulicy Kajki.
Chłopak i dziewczyna. Jak my z tamtej bajki.
Widzę ich, otwierając okno od ulicy. Całują się.

On z radości krzyczy w tę noc, a ta tak cicho
przed moim wzrokiem obydwójce chowa...

Jak mnie boli teraz moja noc czerwcową!
Dlaczego ona tak mi spać nie daje?

Moje wyspy szczęśliwe, ogrody i raje!

Cóż ja dziś wiem o miłości, choć tamtą pamiętam.
Niech chociaż we śnie wróci, życiodajna święta,

z westchnieniem gdy pocałunek kończąc się,
następny zaczynał. Z lśnieniem włosów,
co spadały niczym gwiazd lawina na ciała,
dla których nie ma żadnych granic. Cóż,

jeszcze wiem o miłości tej za wszystko, za nic.
Noc ta dziś pełnie, okropnie się wlecze,
więc sięgam po książkę, czytaniem się leczę.

Książka tu zawsze leży i czeka otwarta.

Kartka biegnie za kartką... Nocy moja czarna,
są w tobie światła ze Zwaru komina. Mówią,
że toczy się życie... Mój sen się zaczyna nagle,
a i ogromnieje. To, co było, w nim widzę,
dziś jutro się dzieje. A jednak odpoczywam
i nic już nie boli...

Śpię i nie szukam różnic ani znaczeń,
bo wszystko się dzieje

w rytmie TWYCH PRZEZNACZEŃ.

Anin, 28 czerwca – 2 lipca 2013



Pedagogika personalno-egzystencjonalna w praktyce

„Boże bliski, przemień zamknięte
oczy

W oczy szeroko otwarte –
I nikły podmuch duszy drgającej
w szczelinach róż

Otocz ogromnym wiatrem”

Jan Paweł II

Na początku swoich rozważań dotyczących pedagogiki personalno-egzystencjonalnej pragnę przedstawić historię pewnej rodziny.

Anna i Krzysztof są małżeństwem już przeszło 35 lat. Mają sześcioro wspianych i zdrowych dzieci. Anna wychowywała się w domu, gdzie sprawy wiary zawsze były stawiane na pierwszym miejscu. W rodzinie Krzysztofa natomiast edukacja religijna została całkowicie zaniedbana. Między Anną i Krzysztofem do momentu pojawienia się pierwszego dziecka, a później kolejnych, temat religii nie był tematem wzbudzającym większych emocji. Przez prawie 20 lat to na Annie spoczywał obowiązek dbania oraz rozwijania miłości do Boga oraz poczucia przynależności do Kościoła. Postawa Anny, jej zachowanie, słowa kierowane do dzieci, całkowite zaufanie Bogu oraz bezwarunkowa miłość do Krzysztofa spowodowały, iż po prawie 20 latach Krzysztof sam dobrowolnie zaczął uczęszczać do Kościoła, a dzieci mają głęboko zakorzenioną zasadę, że nie można służyć dwóm bogom. Jest tylko jeden Bóg. Pomimo różnic poglądowych dotyczących religii małżeństwo Anny i Krzysztofa zawsze dążyło do zgodności w wychowywaniu swoich dzieci. Prawdopodobnie oraz uczciwość względem drugiej osoby była mocno podkreślana. Krzysztof jako ojciec rodziny troszczył się o zapewnienie bytu materialnego, natomiast Anna dbała o rozwój intelektualny dzieci oraz starała się na miarę swoich możliwości oraz posiadanej wiedzy przybliżać wiedzę o Bogu jako Ojcu, do

którego zawsze można się zwrócić, z którym można nawiązać prawdziwy dialog. Wspólne życie Krzysztofa i Anny nie było usłane różami. Jako młodzi rodzice doświadczyli śmierci dwójki swoich dzieci. Śmierć dzieci nie spowodowała postawy buntu przeciwko Bogu. Po jakimś czasie Anna miała bardzo poważne problemy z kręgosłupem, które to pomimo stosowanej terapii pogłębiały się, w konsekwencji powodując całkowite przykucie do łóżka. Pomimo przeszkód ze strony personelu medycznego – w tym próby usunięcia dziecka przez chęć podania środka wczesnoporonnego – oraz zagrożenia całkowitym paraliżem dolnych kończyn ciała małżeństwo Krzysztofa i Anny nie poddawało się. Anna i Krzysztof poprzez swoją autentyczność oraz jasność poglądów uczyli dzieci, jak należy właściwie postępować w życiu. Świat tych dwojga ludzi nie był zamknięty tylko i wyłącznie na siebie oraz swoich bliskich. Nie raz wolną chwilę poświęcali zupełnie obcym osobom. Pomimo ogromu obowiązków oraz wielkiego obciążenia przy wychowywaniu sześciorga dzieci, aktywnym zaangażowaniu społecznym, podchodzili indywidualnie do każdego ze swoich dzieci, odkrywając oraz pomagając w rozwijaniu talentów danych od Boga. W późniejszych swoich działaniach Anna we współpracy ze środowiskiem akademickim oraz duszpasterskim założyła Stowarzyszenie działające na rzecz rozwoju młodzieży w duchu katolickim. Młodzież wychowująca się na terenach byłego Związku Radzieckiego niejednokrotnie była zmuszana do ukrywania swojej przynależności kulturowej, religijnej przed innymi osobami oraz środowiskiem, w którym funkcjonowało. Dziecko, które nie wstydziło się swojej wiary, było wyłączone ze wspólnoty, jaką było środowisko szkolne. Nie tylko środowisko rówieśników nie akceptowało takiego

dziecka, ale również zespół nauczycieli niejednokrotnie utrudniał codzienne funkcjonowanie oraz prawidłowy rozwój dorastającego młodego człowieka. Dzieci Anny i Krzysztofa były dziećmi, które doświadczały już od wczesnych lat swojego dzieciństwa tego, że są inne. Dzięki właściwemu wychowaniu, które polegało na zaufaniu, nieustającej próbie poznania drugiej osoby poprzez rozmowę, pełne oraz autentyczne oddanie siebie innym, dzięki uczeniu dzieci nawiązywaniu relacji z Bogiem oraz całkowitemu zawierzeniu swojego życia Bogu sprawiły, że dzieci pomimo przeciwności, jakie napotykały w swoim życiu, nie uległy pokusie zdradzenia Boga nawet na chwilę. Dorastając w rodzinie, gdzie panowała zgoda między myślą, słowem oraz czynem, gdzie było wzajemne poszanowanie, gdzie rodzice otaczali wielką miłością swoje dzieci oraz nie wstydzili się w prawdziwym okazywaniu sobie nawzajem uczuć, jak również byli otwarci na wszelkie uwagi ze strony swoich dzieci oraz innych osób, dzieci mogły w sposób właściwy rozwijać oraz kształtować swoją osobowość.

W centrum pedagogiki personalno-egzystencjonalnej jest osoba ludzka, w wychowywaniu której powinny znaleźć się podstawowe kategorie egzystencjalne. Do tych kategorii należą: spotkanie, autentyzm, dialog i zaangażowanie. Służą one zarówno do nawiązania łączności wzajemnej między ludźmi, jak też otwierają człowieka na łączność z Łaską Boga.

Autentyczność nakazuje zrzucenie „maski” oraz najgłębszą zgodę między myślą, słowem oraz czynem i jest warunkiem wejścia w dialog z drugim człowiekiem oraz Bogiem.

Wskutek dialogu najpierw rzeczowego, następnie personalnego, a potem egzystencjonalnego, następuje łączność partnerów sięgająca głębi ich istnienia.

Spotkanie pojęte egzystencjonal-



nie wprowadza zasadniczą, dogłębną zmianę w życiu tego, kto go doświadczył.

Zaangażowanie natomiast jest to pełne, całkowite oddanie swego „ja” w służbie jakiejś osoby lub rzeczy.

W nauczaniu i wychowywaniu chrześcijańskim, które ukierunkowane jest ku spotkaniu z Bogiem, dialog ma zasadnicze znaczenie. O tym, że dialog należy traktować jako metodę, mówił Paweł VI: „dialog nie jest celem, ale środkiem. Nie daje prawdy, ale jej szuka. Jest metodą, a nie systemem.” Natomiast w zastosowaniu pedagogicznym M. Navratil określa dialog jako „proces, przez który dwa podmioty używają słowa w zamiarze osiągnięcia zrozumienia tego, co każdy z nich myśli i czym żyje, oraz dzięki któremu dochodzą w pewnej mierze do zbliżenia wzajemnego swoich punktów widzenia i właściwego sobie sposobu bycia.” Dialog niejednokrotnie bywa trudny, gdyż wymaga bezinteresownej cierpliwości, przezwyciężenia miłości własnej, zaufania wobec drugiego człowieka oraz systematycznego korygowania siebie w świetle jego myśli. Mogłoby się wydawać, że stosunku wychowawcy – wychowanek nie da się określić jako dialogicznego, lecz jako jednostronny, ponieważ charakteryzuje się on podporządkowaniem jednostki niedojrzałego człowieka dorosłemu. Jeżeli jednak weźmie się pod uwagę, że między wychowawcą a wychowankiem ma nastąpić współdziałanie w poszukiwaniu prawdy oraz urzeczywistnianiu dobra, to wówczas zrozumiemy, że łączy ich jedna wspólna płaszczyzna podporządkowania się Logosowi. Ponadto słabość, rozumiana jako niedojrzałość w tym przypadku wychowanka, nie czyni dialogu niemożliwym. Wychowawca nie jest bowiem człowiekiem doskonałym i potrzebuje pomocy od innych osób. Jeżeli dorosła osoba wyrzeknie się poczucia wyższości nad dzieckiem, wówczas to właśnie dziecko może przyjść z pomocą i wtedy nastąpi prawdziwy dialog. Postawa dialogu polega na stałej gotowości dążenia przez rozmowę w zrozumieniu innych ludzi, zbliżenia się do nich oraz w miarę możliwości współdziałania z nimi. W określeniu dialogu do głównych form możemy zaliczyć:

Dialog rzeczowy, którego przedmiotem jest wszystko, co nas otacza, czyli świat zewnętrzny.

Dialog personalny ma na celu zjednoczenie osób, które uzewnętrzniają własne doznania, uczucia, radości oraz kłębki.

Dialog egzystencjalny oparty jest na całkowitym oraz wzajemnym darze partnerów z ich egzystencji.

W nawiązaniu do wcześniej przytoczonej historii życia Anny i Krzysztofa możemy zauważyć, iż w ich postawach występują cechy, które są zawarte w dialogu personalnym, jak również postawy wyrzeczenia się samego siebie na rzecz drugiej osoby, przezwyciężanie egocentryzmu oraz samolubstwa wskazują na prowadzenie dialogu egzystencjalnego.

Dialog w życiu rodzinnym oraz małżeńskim jest podstawą, gdyż bez udanego dialogu nie ma szczęśliwej rodziny ani udanego małżeństwa. Brak właściwego dialogu w rodzinie może prowadzić do zanikania wzajemnych kontaktów w rodzinie. Z psychologicznego i pedagogicznego punktu widzenia takie zanikanie kontaktów w rodzinie powoduje, że poszczególni domownicy czują się osamotnieni, mieszkanie wydaje im się puste, zimne i obce. W sytuacjach konfliktowych z braku komunikacji dochodzi do pogłębienia uprzedzeń, które to prowadzą do jeszcze głębszego rozdarcia oraz napięć. Do skutków takiego stanu możemy zaliczyć stan osamotnienia, rozdrażnienia, agresywności i wrogości. Konsekwencją całkowitego załamania się dialogu w małżeństwie i rodzinie bywają nierzadko ucieczki z domu, przestępstwa, zdrady małżeńskie, pijaństwo, jak również rozwody. Dialog może odbywać się na trzech znanych nam płaszczyznach: codziennej, rzeczowej oraz personalnej, które stykają się ze sobą.

Omawiając metody dialogiczne w wychowywaniu chrześcijańskim, nie można zapomnieć również o autentyczności oraz zaangażowaniu, które związane są z ujęciem egzystencjalnym. Obejmują one dwa zagadnienia, jakimi są: budzenie egzystencji autentycznej i rozwój egzystencji zaangażowanej.

Egzystencji nie da się ściśle zdefiniować. O. Fr. Bollnowa proponuje taki

opis: „Egzystencja jest to najbardziej intymne jądro istoty człowieka, które jeszcze wtedy pozostaje, a właściwie dopiero wtedy zostaje doświadczone, gdy wszystko to, co człowiek w tym świecie może osiągnąć... straci i okaże się złudne...” W chrześcijańskim natomiast ujęciu egzystencja ludzka zyskuje nowy wymiar, ponieważ w chrzcie człowiek staje się prawdziwie synem Bożym i uczestnikiem natury Bożej, co św. Paweł wyraża słowami: „już nie ja żyję, to żyje we mnie Chrystus”. Dialog i miłość prowadzą do egzystencji autentycznej, która polega na zgodności z najgłębszym „ja”. W procesie wychowawczym dziecka lub młodego człowieka należy wziąć pod uwagę, iż egzystencja każdego wychowanka jest konkretna, jedyna i niepowtarzalna. W procesie stopniowego dorastania dziecka wychowawca powinien przygotowywać je do wolnych, personalnych i egzystencjonalnych aktów. Temu celowi ma służyć budzenie, które zmierza do ożywienia możliwości dziecka, a następnie otwarcie go na wezwanie Boże. Najpierw jednak dziecko musi być zainteresowane tym, co chcemy mu przekazać. Wychodząc zatem od najbardziej zasadniczych doświadczeń życiowych dziecka, zwracamy jego uwagę na to, co najistotniejsze. Kierkegaard mówi, że należy wzniecać „niekończące się zainteresowanie” zbawieniem, a wreszcie samym Bogiem. Skuteczność takiego oddziaływania staje się bardziej prawdopodobna, gdy nie jest ono anonimowe, lecz zaadresowane, tzn. zwraca się nie tyle do ogółu, co raczej do pojedynczego, konkretnego dziecka wyłoniętego z tłumu.

Egzystencja zaangażowania, gdzie zaangażowanie pochodzące od słowa francuskiego *engagé* oznaczało pierwotnie żołnierza ochotniczo zaangażowanego do służby wojskowej. Dziś rozumie się ten termin szerzej. Tak więc zaangażowanie egzystencji można pojmować jako pochodzące z wolnego wyboru pełne oddanie się pewnej sprawie lub osobie. W znaczeniu pedagogicznym według K. Sośnickiego postulat „zaangażowania” wyraża potrzebę aktywnego udziału nie tylko składników intelektualnych i emocjonalnych, lecz całej psychiki w procesie wychowania. Przechodząc



do egzystencji chrześcijanina, należy stwierdzić, że ona mocno powiązana jest ze światem, ponieważ Kościół wszczepiony jest w rodzinę ludzką i poczuwa się do pełnej z nią solidarności, co nie oznacza aprobaty dla grzeszności świata zrywającego z Bogiem.

Jakie więc konsekwencje pociąga za sobą wprowadzenie zaangażowania egzystencjalnego do pedagogiki chrześcijańskiej? Otóż wydaje się, że oznaczałoby to wysunięcie dwu postulatów. Najpierw konieczność wszechstronnego poznania czynników warunkujących aktualną sytuację, w jakiej znajduje się egzysten-

cja poszczególnego wychowanka, a zwłaszcza stany napięcia, różnorakie konflikty wewnętrzne i zewnętrzne. A zatem ów pierwszy postulat polegać będzie na dojściu do zrozumienia, co najgłębiej określa egzystencje dziecka lub młodego człowieka, z czym się wiąże jego najistotniejsze dążenia, troski i niepokoje. Drugi natomiast postulat wyraża się okazaniem pomocy wychowankowi w odkrywaniu powołania Bożego zawartego w jego konkretnej aktualnej sytuacji oraz w urzeczywistnianiu go z dogłębnym, całkowitym oddaniem. Tego rodzaju działanie może dokonać się tylko i wyłącznie przy pomocy współdzia-

łania wolności ludzkiej z łaską Bożą.

Na podstawie historii małżeństwa oraz rodzicielstwa Anny i Krzysztofa można zaobserwować nawiązanie głębokiej współpracy i więzi z Bogiem. Ich wiara, postawa, autentyczne zaangażowanie w nawiązywaniu relacji z Bogiem oraz szeroko rozumiany dialog przyczyniły się do właściwego rozwoju i prawidłowego kształtowania się osobowości swoich dzieci, jak również przyczyniły się w kształtowaniu właściwych postaw u dzieci oraz młodzieży będącej pod ich opieką.



MARIA WALTER-KOCHEL

Bożenna i Krzysztof Krysińscy

Akty strzeliste



Pani Bożenna Krysińska jest komorowianką od urodzenia. Tu, w Alei Kasztanowej, był jej rodzinny dom tu się wychowała, chodziła do szkoły. Dzięki rodzicom, którzy podarowali działkę przy ul. Mazurskiej, wybudowali z mężem Krzysztofem dom, i po latach mieszkania w Warszawie i w Pruszkowie-Malichach przenieśli się do Komorowa.

– Życie zatoczyło krąg i znowu jestem u siebie, biegam po dawnych ścieżkach, spotykam starych znajomych – mówi pani Bożenna. – Doceniam piękno tego miejsca. Zieloną okolicę, serdecznych sąsiadów, tego, że spotkani na ulicy ludzie mówią sobie dzień dobry i uśmiechają się do siebie. To niby takie oczywiste, ale coraz rzadziej spotykane.

Dom w Komorowie doceniają też dzieci – Ola i Mateusz. Oboje poszli w ślady rodziców i ukończyli studia. Ola ukończyła SGH w Warszawie

i szczęśliwie znalazła pracę, a Mateusz kończy Politechnikę Warszawską i też już pracuje.

Jest ciepła słoneczna niedziela. Na stole są kompot i ciasto drożdżowe z kruszonką. –Kompot to prawie filozofia życia. Kawa, herbata – właściwie dziś już tylko to się pije – mówi pani Bożenna. – Przywróciłam w naszym domu tradycję picia kompotu. Zależnie od sezonu gotuję kompot truskawkowy, wiśniowy, czereśniowy. Jest zdrowy, pachnący. Dobrze smakuje i gasi pragnienie.

Pijemy więc pyszny kompot truskawkowy, smakujemy ciasto drożdżowe i ciasto budyniowe przygotowane przez Olę – smakujemy niedzielne popołudnie.

Państwo Krysińscy są małżeństwem z 30-letnim stażem. Poznali się na studiach – oboje ukończyli Wydział Mechaniczno-Technologiczny na Politechnice Warszawskiej.

– Mieszkaliśmy na tym samym piętrze akademika – opowiada pani Bożenka. – Zwróciłam na Krzysztofa uwagę, bo mieszkał w pokoju z kolegami, którzy nieustannie imprezowali, zawsze w tym pokoju było głośno i wesoło. Kiedykolwiek tam weszłam, to Krzysztof się uczył, a koledzy przeważnie spali po imprezach. Myślałam: „Jak ten chłopak może się w tych warunkach uczyć?” Nie ukrywam, że było mi go żal i podziwiałam go. Pewnego dnia weszłam do Krzysztofa pożyczyć kalkulator, a on zaprosił mnie na domowe wyroby, które przywiózł z domu rodzinnego.

– Przez żołądek trafiłem do serca Bożenki – żartuje pan Krzysztof. Ach, jak wtedy smakowały te domowe wędliny, mięska pieczone, pierogi przygotowane przez mamę Krzysztofa, placek domowy. – Mama była wspaiałym człowiekiem. Była i jest – poprawia się pan Krzysztof. – Mama



zaszczepiła we mnie religijność w takim dobrym znaczeniu, żeby wierzyć i prawdziwie ufać w Bożą Opatrzność. Nauczyła mnie modlić się, nauczyła mnie wiary. „Jak masz jakieś problemy – módl się, powierz sprawę Panu Bogu” – mawiała. – Dziś ma 92 lata i powtarza: „Wy teraz musicie pracować, młodzi muszą się uczyć, a moim zadaniem teraz jest modlić się za was”.

– Z domu rodzinnego wyniosłem pracowitość i poczucie odpowiedzialności. Co zaczniesz, to musisz skończyć. Jako dziecko wiedziałem, że trzeba rano wstać i pomagać rodzicom. Iść z ojcem w pole, kosić, orać, siać, bronować, kopać kartofle, paść krowy. Mimo że mieszkalem z rodzicami na wsi tylko do 15. roku życia, nauczyłem się tego wszystkiego, co potem procentowało w życiu: pracowitości, dokładności, odpowiedzialności, pomagania bez proszenia, wstawania rano. Wyjechałem do szkoły średniej w Gdyni, ale wakacje spędzałem na wsi, pomagając rodzicom. Mimo że marzyłem o budowie okrętów, na studia przenieśliem się do Warszawy na Politechnikę Warszawską, żeby być bliżej rodziców, częściej im pomagać.

Wszystkie nasze dzienne sprawy

Modlitwa jest dla nas ważna. Każdy dzień kończymy, wspólnie odmawiając jakąś modlitwę. Zazwyczaj jest to koronka do Bożego Miłosierdzia. Ale w czerwcu odmawiamy litanie do Najświętszego Serca Pana Jezusa, w maju Litanię do Matki Bożej, w październiku – różaniec. Kiedy dzieci były mniejsze i później, kiedy Mateusz był ministrantem, modliliśmy się wspólnie. Dziś młodzi późno wracają z pracy, ze spotkań, często wyjeżdżają, więc modlimy się z mężem we dwoje. – I to jest nasza święta godzina ta modlitwa, uświęca każdy dzień. Jest lepsza niż jakakolwiek terapia psychologiczna – mówią razem. – Żeby nie wiem jak burzliwy czy nerwowy był dzień, ta wspólna koronka uspokaja, wieczorem na modlitwie jesteśmy razem, oddajemy w lepsze ręce wszystkie nasze dzienne sprawy.

Akty strzeliste – strzały, które trafiają w serce Boga

– Rano wstajemy, szykujemy się do pracy, nie ma więc czasu na dłuższe modlenie – mówi pan Krzysztof. – Rano i w ciągu dnia to są najczęściej Akty Strzeliste. Aktem Strzelistym powierzam Bogu każdą sprawę. Najprostszy akt: „Jezu ufam Tobie” albo pięknym fragmentem Psalmu: „A Ty, o Panie, nie wstrzymuj wobec mnie swojego miłosierdzia. Łaska twoja i wierność niech mnie zawsze strzegą”, Aktem Strzelistym proszę o pomoc: „Jezu Chryste, Synu Boga żywego, zmiłuj się nade mną grzesznym”, „Jezusie, Synu Dawida, ulituj się nade mną i moją rodziną”. Aktem Strzelistym wyrażam wdzięczność: „Jak wspaniałe są dzieła Twoje Panie” albo słowami świętego Piotra: „Panie, Ty wiesz wszystko, Ty wiesz, że Cię kocham”.

Powierzam też swoje sprawy Matce Bożej: „O Maryjo bez grzechu poczęta, módl się za nami”, modlę się do św. Józefa: „Święty Józefie, czuwać nad nami”. Mam też wielkie zaufanie do pomocy i działania św. Antoniego, który wielokrotnie ratował mnie od poważnych strat.

O przykłady nie muszę długo prosić: – Wiele było takich sytuacji – opowiada pan Krzysztof. – Zostawiłem w banku dużą sumę pieniędzy, wypłaty dla pracowników. Kiedy spostrzegłem stratę, nogi się pode mną ugęły. „Święty Antoni, pomóż mi” – powtarzałem. Kiedy wróciłem do banku, kasjerka już od okienka wołała: „Mam coś dla pana, ten mężczyzna, który stał za panem, oddał saszetkę”. Przeliczyłem – nie brakowało ani złotych. Innym razem zgubiłem telefon komórkowy, pęk kluczy. Święty Antoni za każdym razem był niezawodny.

– Moja wiara to ufność – mówi pan Krzysztof. – Trzeba zawierzać wszyst-

kie sprawy Bogu nie tylko od święta, ale codziennie. Trzeba robić swoje i wysyłać Akty Strzeliste do Pana Boga.

Pięknie o aktach strzelistych mówił o. Pio, że są to „strzały, które trafiają w serce Boga i zmuszają Go do udzielania swojej łaski i pomocy we wszystkim”. Święty Maksymilian Maria Kolbe mówił, że „akty strzeliste podtrzymują i oczyszczają duszę, przyczyniają się do powiększania źródła łask i podsycają życie duchowe jak drwa



dokładane do ognia”. A Jose Maria Escriva powtarzał, że akty strzeliste nie przeszkadzają w codziennych zajęciach, podobnie jak bicie serca nie przeszkadza pracy ciała. Tymi aktami strzelistymi oddaję Bogu całą moją wiarę, uczucie i zaufanie do Niego – podsumowuje pan Krzysztof.

A ty co dla mnie zrobiłeś...

– Jestem ogromnie szczęśliwy, że uczestniczyliśmy z żoną rekolekcjach „Jezus na stadionie” na Stadionie Narodowym, w których prawie 60 tysięcy osób jednocześnie dziękowało i modliło się do Boga. I to nie



było ważne, jaki ksiądz celebrował tę mszę. Oprócz o. Johna Baptista Bashobory byli też abp Henryk Hoser i bp Marek Solarczyk. To było dla nas wielkie zadziwienie, że aż tylu młodych ludzi zebrało się na stadionie, żeby się modlić. Pewnie niektórzy przyszli z ciekawości, zobaczyć ugandyjskiego księdza, któremu towarzyszy sława uzdrowiciela. Ale było też widać, że jest potrzeba wspólnej modlitwy, wspólnej Adoracji.

– Przyznam się, że miałam mie-

było tak ciężko i nie jest bez znaczenia, czy pracujemy w sobotę czy nie. Czy nie szkoda tego czasu – zastanawiałam się. Ale kiedy mąż zdecydował, że idziemy, to się ucieszyłam. Pojechaliśmy pomodlić się w intencji rodziny, ale nie tylko.

– Poszedłem, żeby móc powiedzieć Jezusowi, kiedy mnie zapyta: „A ty co dla mnie zrobiłeś?” – poświęciłem dla Ciebie, Panie, małą część swojego czasu w tę lipcową sobotę. Nie odrzuciłem Twojego zaproszenia.

Czuję się prawie wyróżniony, że zostałem zaproszony na tę wspólną wielką Eucharystyczną Ucztę i nie wymówiłem się. Nie uczestniczyłem nigdy w żadnych takich spotkaniach, nie byłem na żadnej pielgrzymce. Jest powiedziane: „Choćbyś się modlił, a nic nie robił, to twoja wiara jest martwa”. Jak podjąłem decyzję, że idziemy na stadion, poczułem ulgę i do dziś się cieszę, i myślę sobie, jak to dobrze, że pojechałem, że pojechaliśmy tam razem. Dopiero teraz, po kilku tygodniach, dociera do mnie, jak bardzo bym żałował, gdybym tam nie był – dodaje pan Krzysztof po namyśle. – Jaki ja byłbym niezadowolony. Nawet gdybym dziesięć, sto różańców odmówił, to

nie byłoby to samo. Nie przebiłbym się do żadnej łaski.

– Mimo tylu godzin było lekko, szybko mijał czas, nie czuło się zmęczenia. Podziwiałam tych młodych. I to, jak się modlą, jak potrafią uwielbiać Jezusa, ich szczerość, spontaniczność, nagradzanie brawami. Byliśmy też świadkami uzdrawiającej mocy Jezusa – wspomina wydarzenie pani Bożenna. – To było naprawdę piękne wydarzenie, świadectwo chrześcijańskiej wiary.

– Była też na stadionie moja koleżanka ze studiów – Ela, która zgłosiła się do adoracji najświętszego Sakramentu – wspomina pani Bożenna. –

Ela ma córkę, 30-letnią Anię, która jakiś czas temu miała wylew i w wyniku tego jest częściowo sparaliżowana. Ta Ania jest mężatką, urodziła dwoje dzieci – Mateuszek ma 3 latka, Natalka 1 rok. Byliśmy na ślubie Ani. Zawsze taka dzielna: budowali dom z bratem, to wsadzała dzieci do samochodu, jechała po glazurę, pilnowała robotników. Aż jednej soboty Ania źle się poczuła, bolała ją głowa, wymiotowała. Ale jeszcze nakarmiła piersią Natalkę i wychodząc z pokoju upadła na schodach i straciła przytomność. Jej mąż akurat to widział i natychmiast zawiózł Anię do szpitala. Operacja głowy uratowała jej życie, ale jakaś część mózgu została uszkodzona, bo Ania straciła pamięć i została częściowo sparaliżowana. Do tego dołączyły się ataki padaczki. Mąż zajmuje się Anią i dziećmi bardzo troskliwie, ale powtarza, że już mu brakuje siły. Moja koleżanka, Ela, poszła na mszę na stadionie w intencji zdrowia Ani. Jej młodsza córka Dorota – siostra Ani – zgłosiła się do pracy na stadionie jako wolontariuszka. Ania została dowieziona ze szpitala na mszę. Była na płycie. Była razem z koleżanką ze szpitala. W pewnym momencie i Ania, i jej koleżanka poczuły potrzebę wyznania się. Wypowiadały się obydwie, przyjęły komunię świętą.

Rano następnego dnia – w niedzielę – o. Bashobora odprawił mszę dla wolontariuszy. Po tej mszy przystanął nagle przy Dorocie – córce Eli. Dorota opowiedziała o chorobie siostry i poprosiła o. Bashoborę o modlitwę. Ugandyjski ksiądz zaproponował, żeby zadzwonić do Ani do szpitala. Oczywiście Ania była w szoku, kiedy usłyszała misjonarza. Powiedział jej: „według mnie Pan Jezus cię uzdrowił, ale najważniejsze, żebyś w to uwierzyła, musisz w to wierzyć. Ja się będę za ciebie modlił”.

Zamierzam zadzwonić do Eli i zapytać, jak dziś czuje się Ania – opowiada wrażenia pani Bożenna.

W podróż poślubną do Częstochowy

– W naszym życiu dużo jest modlitwy i zawierzania Bogu, może i dlatego, że od początku powierzyliśmy nasze wspólne życie w ręce Matki



szane uczucia, czy mam iść na ten stadion – przyznaje pani Bożenna. – Bałam się upału, nie wiedziałam, czy wytrzymam tyle godzin na twardych stadionowych krzesłkach (od godziny 9.00 do 22.00).

– Myślałam, że będą sami starsi i chorzy, że będzie tłum, ja będę zmęczona, a poza tym sobota to dla nas dzień pracy. Prowadzimy firmę betoniarską „Sawina” w Grodzisku Mazowieckim produkującą materiały budowlane, bloczki fundamentowe, stropy, ogrodzenia, płyty chodnikowe. W sobotę mamy zazwyczaj największą liczbę interesantów, największy ruch. Czujemy kryzys. Jeszcze nigdy nie



Bożej. W podróż poślubną pojechaliśmy do Częstochowy – śmieje się pani Bożenna. – To właśnie mama Krzysztofa w prezencie ślubnym wykupiła dla nas pielgrzymkę do Częstochowy. Pojechaliśmy prawie prosto z wesela. I cały autokar modlił się za nas, bo byliśmy chyba najmłodszymi uczestnikami tej pielgrzymki, a na pewno najbardziej nietypowymi. I powierzyliśmy całe nasze życie Matce Bożej Częstochowskiej. Dopiero po powrocie zaczęliśmy nasze małżeńskie życie. I tę opiekę Matki Bożej czujemy w naszej rodzinie nieustająco. Może i dlatego nasze małżeństwo trwa, udaje nam się przejść różne burze. Razem pracujemy, razem się cieszymy, razem martwimy. Nawet jak w jakiejś sprawie źle się dzieje, wierzymy, że Ona nad wszystkim czuwa i zwycięży zło.

Do dziś jesteśmy naszej mamie wdzięczni za ten „prezent”.

O świętości życia rodzinnego

– Krzysztof jest dobrym i mężem, i ojcem – chwali męża pani Bożenna. – Po ślubie mieszkaliśmy skromnie, w jednym pokoiku w akademiku. Tam urodziła się Ola. Pamiętam, jaki Krzysztof był szczęśliwy. Jak ukląkł przy łóżku, przytulił mnie, pocałował w rękę i dziękował, że taką śliczną córeczkę mu urodziłam. Podobnie było, kiedy urodził się Mateusz. Wziął go na ręce i taki dumny trzymał i trzymał, i powtarzał: „jakiego mam wspaniałego syna”.

– Już wtedy byłem z Mateusza dumny – dodaje pan Krzysztof z uśmiechem – i jestem dumny cały czas. Jest wspaniałym synem. Rodzina to podstawa. Wiemy, że w każdej sytuacji możemy na siebie liczyć.

– Widzimy, jak wiele rodzin naszych znajomych się rozpada. Jak niemożliwa jest świętość życia codziennego. Jak dla wielu młodych nie ma znaczenia, jaki jest dzień tygodnia. Piątek – coś znaczy piątek – początek zabawy. A że to dzień, w którym cierpiał i umarł za nas Jezus, że warto tego dnia popościć, czegoś sobie odmówić, kto by o tym myślał? Co dziś znaczy świętość niedzieli? A jednak było na stadionie prawie 60 tysięcy młodych ludzi, żeby się modlić i to mnie napawa otuchą. Że są młodzi,

którzy mają odwagę przyznawać się do Jezusa. Bo taka postawa wymaga dziś odwagi, wymaga przeciwstawienia się nihilizmowi, fałszywemu wyborom, ułudom życia, bylejakości. No cóż, młodzi też muszą wiedzieć, że poniosą odpowiedzialność za swoje wybory, za swoje postawy.

Rozmawiamy o życiu rodzinnym, o dzieciach. Pani Bożenna wyciąga kalendarz zrobiony przez Olę i piękne rodzinne chwile uwiecznione przez nią na fotografiach.

Wymarzony dom

Na koniec gościnni gospodarze oprowadzają mnie po domu. Dom jest piękny. Pan Krzysztof pomyślał i o części wypoczynkowej w domu. Jest sala bilardowa, sala ze stołem ping-pongowym. Jest sauna, z której korzystają zimą. – Ten dom to jest zasługa męża, perfekcjonisty, który właśnie na szczegóły zwraca wielką

uwagę – chwali męża pani Bożenna. – Mamy dom, jaki sobie wymarzyliśmy. – chociaż pan Krzysztof stwierdza, że dziś wiele rzeczy zbudowałby inaczej. – Kuchnia natomiast została zaprojektowana przeze mnie. Jest duża, obowiązkowo ze stołem i dwiema kuchenkami do gotowania, żeby można było równocześnie piec, smażyć, gotować kilka potraw bez czekania na wolny piekarnik.

Ulubioną potrawą pana Krzysztofa i Mateusza są sznycelki cielęce z oliwkami, pomidorami i mozzarellą. Pani Bożenna z Olą lubią próbować nowe przepisy, które są smaczne i łatwe w przygotowaniu. I takimi przepisami dzielą się z Czytelnikami Magazynu Parafialnego.



Wysłuchała i fotografowała
URSZULA IMIENIŃSKA

Ciasto drożdżowe dla zapracowanych

To ciasto jest szybkie i zawsze się udaje. Zamiast długiego wyrabiania włączam mikser. Polecam!

Składniki: 3 całe jajka, 1 szklanka mleka, 70 dkg maki, 6 łyżek leju, 8 dkg drożdży, 6 łyżek cukru, 1 cukier waniliowy, szczypta soli, 1/2 zapachu do ciasta

Kruszonka: 1/2 szklanki cukru, 1/2 szklanki mąki, 4 łyżki oleju lub 4 łyżki masła, 1 cukier waniliowy. Z tych składników zagniatamy kulkę i ucieramy na tarce wprost na ciasto.

Wykonanie ciasta: Do miski wrzucam jajka, cukier, cukier waniliowy, sól i ucieram mikserem do białości. W ciepłym mleku rozpuszczam drożdże i wlewam do masy jajecznej, miksując wszystko na małych obrotach. Stopniowo dodaję mąkę – ciągle wolno miksuję, a na końcu dodaję olej i miksuję znowu. Nie czekam, aż urośnie. Od razu wlewam do formy i wstawiam do nagrzanego piekarnika. Piekę 55 minut w temperaturze 180 stopni.

Kruszonką posypujemy ciasto przed włożeniem do piekarnika.





Placek z owocami

To chyba najszybszy placek, a przy tym smaczny i łatwy w przygotowaniu. Nie jest to wykwintne ciasto, ale jego smakowi nikt się nie oprze!

Składniki (na małą blachę): 2 szklanki mąki, szklanka śmietany, szklanka cukru, 2 jaja, 2 łyżki oleju, 2 łyżeczki proszku do pieczenia, cukier waniliowy, owoce, bakalie do wyboru

Wykonanie: Ubić jajka z cukrem, wlać śmietanę, olej, esencję zapachową. Do gładkiej masy dodajemy mąkę wymieszaną z proszkiem do pieczenia. Wymieszaną masę wylać na blachę wysmarowaną tłuszczem lub wyłożoną papierem do pieczenia. Na wierzchu ułożyć owoce lub bakalie. Wstawić do średnio nagrzanego piekarnika – ok. 180 stopni – i piec ok. 40 minut.



Sznyecl z mozzarellą

To ulubiona potrawa mojego męża. Przygotowuję ją tak często, że powinna się wszystkim znudzić, a na moje pytanie: „co by tu dziś zrobić na obiad?” moja rodzina zgodnie prosi: „to zrób te sznyeclki z mozzarellą”.

Składniki na 5 osób: Ok. 1,2 kg cielęciny lub piersi indyka – mięso musi być takie, żeby się dało pokroić na sznyecl, 4–5 pomidorów bez skórki (sparzone wrzątkiem i obrane), ser mozzarella, oliwki czarne, bazylia, suszone oregano, olej do smażenia, sól, pieprz

Wykonanie: Mięso płuczemy w zimnej wodzie, kroimy w plastry i delikatnie rozbijamy. Posypujemy solą i pieprzem, ale bardzo delikatnie, soli nie powinno się czuć, bo jest jej i tak dużo w mięsie. Każdy sznyecl smażymy z obu stron na rozgrzanym tłuszczu (po ok. 3 minuty z każdej strony). Zrumienione mięso przekładamy do naczynia żaroodpornego. Pomidory i ser kroimy w plastry. Pomidory układamy na mięsie. Kładziemy też pokrojone w plasterki oliwki, posypujemy oregano, przykrywamy folią i pieczemy w temperaturze 180 stopni przez ok. 40 minut. Gdy mięso jest miękkie, odkrywamy folię, układamy ser mozzarella i zapiekamy ponownie (tak długo aż się ser rozpuści). Posypujemy listkami świeżej bazylii, świeżego oregano albo świeżej szalwii – w zależności od upodobania.

Dobrze smakuje z makaronem typu penne lub szerokimi wstążkami.

Schab z jabłkami i ananasem

Składniki: Około 1,0–1,5 kg schabu – najlepszy jest schab środkowy – wąski i niegruby, pokrojone na części 2–3 jabłka, plastry ananasa z puszki, cebula, ok. 20 dkg sera żółtego utartego na tarce o grubych oczkach, 3–5 łyżek majonezu, sól i pieprz do smaku

Wykonanie: schab kroimy na plastry o grubości ok. 1 cm, solimy, pieprzymy i układamy w naczyniu żaroodpornym (na stojąco). Cebulę kroimy w grube plastry, kładziemy na mięso, następnie okładamy mięso pokrojonymi jabłkami i ananasami. Podlewamy odrobiną soku z puszki i polewamy majonezem. Przykrywamy folią i pieczemy w piekarniku nagrzanym do 200 stopni. Czas pieczenia dostosowujemy do ilości mięsa (średnio 1 kilogram to 1 godzina pieczenia). Badamy mięso widelcem. Kiedy będzie już miękkie odkrywamy, posypujemy żółtym serem i zapiekamy jeszcze ok. 10 minut aż się ser rozpuści.

Uwaga! Jabłka i ananasy można położyć na wierzchu, a można też przekładać plastry schabu – jak szaszłyki.





Słów kilka o rozwoju więzi rodzinnej

Magda ma 8 lat. Mieszka sama, a dokładniej z małym, rasowym psem swojej mamy, którym się opiekuje. Gotuje, pierze, sprząta, płaci rachunki.

Co jakiś czas dzwoni babcia i pyta ją, jak sobie radzi. Czasem odwiedza ją znajoma mamy, sprawdza, czy wszystko w porządku i przekazuje jej pieniądze od matki.

Mama Magdy pracuje za granicą. Co kilka miesięcy przyjeżdża i przywozi córce drogie prezenty. Jest rozwiedziona z ojcem Magdy. Jeśli już o nim mówi, jej opinie są negatywne. Ale Magda rzadko rozmawia z matką, gdy ta jest w domu. Gdy jest za granicą, dzwoni co dnia, by poinstruować córkę, co ma robić i upewnić się, że wszystkiego w domu dopilnowała.

Ojciec Magdy natomiast nie spotyka się z córką, nie dzwoni do niej.

Magda ma 16 lat. Matka przyjeżdża częściej, przywozi jeszcze więcej prezentów. Magda nie szanuje matki. Wstawia zamek do drzwi od swego pokoju i zamyka go na klucz nawet wówczas, gdy wychodzi z domu.

Magda ma 20 lat i mieszka w domu, który kupiła jej matka. Ma męża, dziecko i dużego psa. Własnego.

W opisaną sytuację pojawia się mnogość problemów pedagogiczno-psychologicznych. Nie dość, że ośmioletnie dziecko mieszka przez większość czasu samo i wymaga się od niego ogromnej jak na ten wiek samodzielności, to jeszcze nie ma żadnego kontaktu z ojcem. Rodzice

dziewczynki są rozwiedzeni. Relacje z matką nie są dobre, a z upływem czasu jeszcze bardziej się pogarszają. Są to tylko niektóre z nasuwających się problemów. Warto się zastanowić, jak może to wpłynąć na rozwój dziecka, a w dłuższej perspektywie czasu również na rodzinę, którą w przyszłości zakłada. Warto również zacząć od przypomnienia, jakie potrzeby emocjonalne ma dziecko. Z pewnością jedną z takich potrzeb jest potrzeba bezpieczeństwa. Taka potrzeba wymaga przede wszystkim ciągłości opieki nad dzieckiem, poczucia stabilności, przekonania, że dom i rodzina zawsze są na swoim miejscu, relacje w rodzinie są harmonijne, kontrola ze strony rodziców jest konsekwentna, a otoczenie przewidywalne.

Rodzic powinien być przewodnikiem, który pomaga i wspiera zawsze, gdy pojawia się taka potrzeba oraz czuwa nad dzieckiem. Jest autorytetem, który daje przykład, jak należy żyć. Natomiast jest to niemożliwe w sytuacji, gdy rodzica nie ma fizycznie przy dziecku.

Czy ojciec, który w ogóle nie kontaktuje się z córką, oraz matka, która dzwoni z kolejnymi instrukcjami albo po to, aby ją kontrolować czy ewentualnie zapytać, co u niej słychać, mogą zaspokoić u Magdy tę potrzebę? Niestety takie postępowanie rodziców w stosunku do własnego dziecka uniemożliwia zaspokojenie potrzeby po-

czucia bezpieczeństwa.

Potrzeba czułości, która jest zaspakajana między innymi poprzez kontakt fizyczny taki jak przytulanie, dotyk, w omawianej rodzinie była poważnie ograniczona. Podobnie rzecz się miała z podziwem, pocieszaniem czy okazywaniem troski, które rów-

nież wpływają na zaspokajanie tejże potrzeby.

Pytając o frommowskie „mieć czy być”, w rodzinie Magdy z pewnością odpowiedzią jest „mieć”. Czasem rodzice nastawieni są bardziej na „mieć dziecko” niż na „być z dzieckiem”. Wtedy zamiast miłości i czasu dziecko otrzymuje nowe zabawki, zamiast bycia razem – osobny pokój. W przypadku Magdy bez trudu możemy zauważyć, że dostawała drogie prezenty oraz przez większość czasu mieszkała sama. Matka dzwoniła, by ją kontrolować, bo przy takim podejściu każde odbiegające od zamierzeń rodzica zachowanie wywołuje lęk, że straci się to, co się posiada, że straci się kontrolę. Co więcej, matka, kupując Magdzie drogie prezenty, straciła szacunek córki. Co innego relacja „być przy dziecku”. Tej jednak trudno się doszukać w omawianym przypadku.

Warto zdać sobie sprawę, że okres rozwojowy dzieciństwa oraz młodości to ponad 30 procent całego przeciętnego czasu życia.

Ta liczba może sugerować, jak bardzo okres ten wpływa na kształtowanie oraz rozwój człowieka. Dziecko nie może rozwinąć się w pełni bez pomocy z zewnątrz, bez wychowawcy wspomagającego je zarówno w sferze fizycznej (higiena, żywienie), psychicznej (umysł, moralność) oraz duchowej (oddziaływanie religii i sztuki). Rodzic powinien być przewodnikiem, który pomaga i wspiera zawsze, gdy pojawia się taka potrzeba oraz czuwa nad dzieckiem. Jest autorytetem, który daje przykład, jak należy żyć. Natomiast jest to niemożliwe w sytuacji, gdy rodzica nie ma fizycznie przy dziecku.

Bycie przewodnikiem jest bardzo istotne również w okresie dojrzewania. W tym napawającym lękiem niepokojnym okresie dla dorastającego człowieka istotny jest oparty na czułości związek z osobą, której może zaufać, która pomoże przetrwać nieuchronne w tym czasie życiowe



burze. Kogoś, kto gdy będzie trzeba, powie „nie”.

Czy osoba, która od młodego wieku szkolnego musiała w dużej mierze radzić sobie sama i polegać na sobie, zacznie nagle kierować się tym, co mówi matka? Nie sądzę. Wypowiedziane przez matkę „nie”, nie będzie miało w takim wypadku większego znaczenia. Brak związku opartego na wsparciu i zaufaniu lub szukanie takiego związku z niewłaściwą osobą destruktywnie wpływa na kształtowanie się młodego człowieka.

Owoce młodości dorastania jest nowo

uksztaltowana osoba. Według Virginii Satir cele tego okresu zostały osiągnięte, gdy wkraczający w dorosłość młody człowiek jest osobą o wysokiej samoocenie zdolną do tworzenia intymnych relacji oraz brania na siebie odpowiedzialności. Potrafi także odpowiednio komunikować się z ludźmi oraz podejmować ryzyko. Łatwo zauważyć, że są to cechy niezwykle istotne dla osoby zakładającej własną rodzinę, ale również dla każdego dorosłego człowieka.

Przeglądając się bliżej rozwojowi dziecka w rodzinie niepełnej możemy zauważyć, iż sporym problemem jest tu prezentowanie wizerunku płci rodzica, który z jakichś powodów nie kontaktuje się z dzieckiem lub ma z nim bardzo ograniczony kontakt. Nie chodzi o to, by mówić same dobre rzeczy o nieobecny rodzicu niezależnie od prawdy. Należy jednak wytłumaczyć dziecku, że nie wszystkie cechy partnerów do siebie pasują, ale to nie oznacza, że ktoś jest zły. Współcześnie coraz więcej rodzin boryka się z problemem fizycznej i psychicznej nieobecności ojca. Konsekwencją jest zazwyczaj uniemożliwienie dziecku znalezienia oparcia w kimś mądrzejszym i silniejszym. Pozbawia się więc dziecko poczucia bezpieczeństwa, które jest niezbędne do prawidłowego rozwoju dziecka.

Tzw. „głód ojca” pozbawia dziecko uczucia, że jest kochane, bo przeciwieństwem miłości nie jest nienawiść, ale obojętność i brak zaangażowania. Przejawia się to od odgrywania roli służącej do przekonania, że musi być w pełni niezależna i samodzielna. Dziecko z rodziny niepełnej dorasta, nie mając modelu stałego związku kobiety z mężczyzną. Dziewczynka uzyskuje zniekształcony obraz rela-

ich życie w to wszystko, co według nich niesie za sobą miłość, a więc wymieniając za Virginią Satir: uwagę, seksualne spełnienie, dzieci, status, poczucie przynależności, poczucie, że jest się potrzebnym. Ponadto kobiety często oczekują mężczyzny, który zawsze będzie przy nich, będzie dla nich wsparciem, zawsze będzie stał po ich stronie. Oczekują, że będzie z nimi rozmawiał, szanował, cenił

i to właśnie je pośród wszystkich na świecie będzie kochał. O czym innym mogłaby marzyć osoba, która nie doświad-

Dziecko z rodziny niepełnej dorasta, nie mając modelu stałego związku kobiety z mężczyzną. Dziewczynka uzyskuje zniekształcony obraz relacji damsko-męskiej, co z kolei może prowadzić do niewłaściwego postrzegania swojej roli, jaką jest bycie kobietą.

cji damsko-męskiej, co z kolei może prowadzić do niewłaściwego postrzegania swojej roli, jaką jest bycie kobietą.

Z powyższych rozważań wysuwa się wniosek potwierdzany zgodnie przez psychologów, że najlepszym sposobem wychowania dziecka jest wzajemna miłość rodziców. Najlepszym prezentem, jaki matka może dać dziecku jest to, że kocha jego ojca i odwrotnie. Klimat wzajemnej i dojrzałej miłości daje szansę na właściwy rozwój dziecka. Jest to najlepszy, jeśli nie jedyny sposób na nauczanie dziecka miłości. W okazywaniu miłości dziecku należy uważnie patrzeć, obserwować w taki sposób, ażeby dostrzec jego niepowtarzalność, odrębność oraz zaakceptować to, kim jest i jakie jest. W wychowywaniu dziecka ważna jest również obecność rodzica. Należy również pamiętać o umiejętnym wytyczaniu dziecku granic oraz odnoszeniu się do niego tak, by te granice szanowało.

Magda założyła rodzinę dosyć wcześnie. Może to była ucieczka z domu rodzinnego, a może tęsknota za pełną, właściwie funkcjonującą rodziną, której Magda nie miała? Prawdopodobnie założenie własnej rodziny przez Magdę miało na celu wypełnienie pustki, której wcześniej doświadczyła. Wszak większość osób oczekuje, że małżeństwo wzbogaci

czała podobnych rzeczy w dzieciństwie? Ale czy taka osoba potrafi stworzyć związek, o jakim marzy? Jeśli Magda skorzysta z wzoru, jaki otrzymała w dzieciństwie, to ma nikłe szanse na przetrwanie, a już na pewno nie będzie prawidłowo funkcjonować. Należy również zastanowić się nad tym, co się stanie, jeśli nadzieje dziewczyny wobec własnej rodziny nie spełnią się. Wiemy, że tak może się stać z powodu braku właściwego wzorca w dzieciństwie.

Ponadto należy zwrócić uwagę na samo funkcjonowanie związku partnerskiego. W sytuacji, gdy któreś z partnerów żyło dotąd w przekonaniu, że jest dla ukochanej osoby wszystkim, może nie być w stanie pogodzić się z tym, że partner ma swoje „własne” poza nim życie. To może doprowadzić do konfliktu.

Nasze doświadczenia w relacji z ukochaną osobą są bardzo osobiste, ale jest też druga strona medalu. Historia miłości każdego człowieka wyrasta na doświadczeniach jego przodków i na relacjach z rodzicami, opiekunami. Można mieć jedynie nadzieję, że osobiste doświadczenia z dzieciństwa, jeśli nie były takie, jakie być powinny, pozwolą przy udziale naszej pracy na uczenie się także na błędach rodziców.

MARIA WALTER-KOCHEL





Moje dzieci – gawędy mamy

Prezenty ślubne

Bardzo często w chwili, gdy dostajemy zaproszenie na uroczystość ślubu i wesela, do głowy ciśnie się nam bardzo wiele pytań: czy na zaproszeniu wpisano dzieci, czy jest jakaś uwaga dotycząca prezentów, czy młoda para chciałaby kwiaty, czy może inne podarki. Ostatnio zamiast kwiatów bardzo wielu nowożeńców życzy sobie kupony totolotka. Sprawdzanie wygranej to niewątpliwie olbrzymia frajda, nawet, jeśli będzie symboliczna. Niektóre pary proszą o maskotki, jeszcze inne o grosik do puszek. Otrzymane pieniądze i zabawki młoda para zawozi do Domu Dziecka. Warto to jednak ustalić wcześniej, gdyż wiele domów dziecka ma już bardzo dużo zabawek i nie zawsze przyjmie kolejne. Wielu gości wręcza prezenty ślubne podczas wesela.

Na zachodzie takie zadanie jest bardzo ułatwione, bo na ogół osoba zajmująca się przygotowaniem wesela dysponuje listą prezentów ślubnych.



Dzięki temu bohaterowie dnia nie otrzymają na przykład malakserów w nadmiernej ilości. Taka lista pojawia się w Polsce coraz częściej, ale nie jest jeszcze standardem. Jeżeli nie uda się nam dowiedzieć, co sprawiłoby państwu młodym przyjemność, do kopert z pieniędzmi lub do bonu prezentowego, które przydadzą się zawsze, można dodać praktyczny prezent. Do takich zaliczają się ręczniki: może to być komplet ręczników zapakowany w formie tortu, ozdobiony w kolorze otrzymanego zaproszenia. Na ręcznikach można wyszyć imiona pary młodej, datę ślubu, napis «dzień dobry» i zapakować je do ozdobnego kosza zawiniętego folią. Niebanalnym prezentem jest też bukiet z ręczników – starannie wykonany może do złudzenia przypominać prawdziwe kwia-

ty. Bardziej uzdolnieni goście mogą przygotować kosz, w którym znajdują się ręczniki starannie udrapowane w dwa zakochane łabędzie.

Jeżeli nie znamy gustu Państwa młodych i nie wiemy, na jakim są etapie urządzania mieszkania czy domu, można pokusić się o elegancką standardową pościel, szafeczkę do kluczy, dzbanek do parzenia herbaty z zestawem dwóch filiżanek i dobrą herbatą, eleganckie karafki na oliwę, podkładki na stół, cukiernicę. Jak zawsze najważniejsze jest to, żeby prezent był dany z serca i mógł jak najdłużej przypominać o mile spędzonym wspólnie dniu ślubu.

AGATA TOMASZEWSKA-
-ANTONIEWICZ



KRONIKA PARAFIALNA

Dzieci ochrzczone w naszym kościele

Michał Jan Gaza
Jakub Józef Pruszyński
Sebastian Marcinişyn
Maciej Ogiński
Barbara Sowińska
Jan Grzegorz Smoliński
Oskar Karolak

Lena Joanna Brodzka
Nadi Bartosz Yörümez
Barbara Sarba
Róża Anna Korman
Jakub Krzysztof Malczak

Zuzanna Walentyna Zawiślak
Franciszek Marcin Nowak
Aleksandra Opłocka
Martha Tykha
Maciej Władysław Roik
Lena Zofia Biernacka
Bartłomiej Stanisław Kłosiński

W ostatnim czasie do Sakramentu Małżeństwa przystąpili

Marek Adam Mordecki i Dorota Kułakowska
Przemysław Hansman i Karolina Skrzypek
Paweł Michewicz i Anna Emilia Mastalska
Nicolas Halibest i Katarzyna Rosiak
Michał Krzysztof Popek i Anna Jadwiga Cygan
Adam Argulewicz i Katarzyna Aniela Pietrzak
Jarosław Marek Głabosz i Elwira Anna Grudkowska
Piotr Tomasz Kasprówicz i Aleksandra Monika Kniefel
Marcin Grzegorz Zieliński i Justyna Krajewska
Giorgio Marcante i Ewa Anna Skaut
Wojciech Sławomir Jankowski i Agnieszka Kostilek

Zmarli Parafianie pochowani na naszym cmentarzu

Matylda Szkodzińska
Jerzy Michał Masny
Jerzy Skrzypek
Feliks Makowski
Krystyna Wiśniewska
Jolanta Elżbieta Moczyłowska
Joanna Teresa Nowacka
Halina Łukawska-Szóstkiewicz
Maria Szwengier-Sukiennik
Zofia Brałowarczuk
Jadwiga Czelakowska
Maria Pelagia Miszczak-
-Bednarska
Kazimierz Janczak
Stanisław Ksieniewicz
Jerzy Sławomir Mioduszeński
Tadeusz Witkowski
Tadeusz Pruszyński
Janusz Bolesław Markert
Irena Perzyńska



Odpust parafialny

Kiedy zastanawiam się nad uroczystością odpustu parafialnego, pierwsza/główna myśl, która przychodzi mi do głowy, to obwarzanki i petardy. Wiem, wiem, wstyd mi z tego powodu, ale wciąż tkwi we mnie dziecięca dusza. Po części to poprawne skojarzenie, ponieważ podczas odpustu sprzedaje się i kupuje słodczyce, balony oraz tandetne zabawki, organizuje różne festyny mające na celu uświetnienie całości. Bardzo przyjemny zwyczaj.

Myślę jednak, że nie jestem odosobniona w tej pierwszej reakcji. Aby stała się jasność, powiedzmy najpierw, czym jest sam odpust. Jest to darowanie przez Pana kary doczesnej za grzechy. Może być zupełny, polegający na anulowaniu całej kary, lub częściowy, który tylko ją zmniejsza. Aby go uzyskać, należy odbyć spowiedź świętą, przyjąć Eucharystię, odmówić modlitwę w intencji Ojca świętego oraz wyzbyc się jakiegokolwiek przywiązania do grzechu, nawet lekkiego.

Teraz więcej o samej uroczystości. Dzień, w którym w liturgii wspomina się świętych, którzy zostali patronami, staje się świętem kościoła i parafii z nim związanej. Wraz z postępem nauki o odpustach zaczęto dopuszczać możliwość ich uzyskania podczas tego wydarzenia, stąd nazwa

odpust parafialny. Nasza parafia pod wezwaniem Narodzenia Najświętszej Maryi Panny obchodzi swoje święto w pierwszą niedzielę po 8 września. Co ciekawe, kiedyś w Polsce Narodzenie Najświętszej Maryi Panny świętowano jako święto Matki Boskiej Siewnej. Przynoszono do kościoła ziarno przeznaczone na jesienny zasiew, a kapłan święcił je. Dopiero wtedy można było przystąpić do corocznego działania. We współcześnie pozbawionym pól Komorowie ta tradycja już zanikła.

Jak już wcześniej wspomniałam, zewnętrzna otoczka obrzędów odpustu parafialnego, czyli jarmark i zabawy, odciąga od duchowego charakteru ceremonii. Pewnie dlatego podczas kazania ksiądz przypomina o samym patronie i uzyskiwaniu odpustu.

Mam wielką nadzieję, że podczas tegorocznego odpustu słodka wata cukrowa i plastikowe pierścionki nie wpłyną na nasze wewnętrzne przeżycia związane z nadchodzącym świętem.



LAURA MROZOWSKA

Jak znaleźć frajera?

Pozwolę sobie, na samym początku, przeprosić wszystkich czytelników za tytuł, który może zostać odebrany bardzo różnie. Proszę pamiętać, że jego celem nie jest obrażanie kogokolwiek.

To było w sobotę rano. Wczesne przejazdy komunikacją miejską zawsze wiążą się z ciekawą przygodą. I tak było tym razem. Jak zwykle z dwiema wypchanymi torbami wcisnęłam się do pociągu. Wsiadając, rozejrzałam się – na końcu przedziału Pan z psem, reszta to przysypiający ludzie – podsumowując: bezpiecznie. Zajęłam miejsce, bo o dziwo jeszcze było, a dwa siedzenia dalej (czyli tuż obok Pana z psem) przysiadł się chłopak kilka lat starszy ode mnie. Wpierw zaczął bawić się ze zwierzęciem, głośko, wypytując właściciela o historię czworonoga. Jak się potem cały wagon dowiedział, pies zwał się Wiktor. Gdy zabawa z Wiktorem znudziła się, zaczął zagadywać ludzi o ich plany wakacyjne. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie fakt, że chłopak najprawdopodobniej wracał wła-

śnie z jakiejś zabawy. Mimo że zachowywał się kulturalnie, jedynie tylko jego było słychać w całym wagonie. Jego quasi monolog przerwała kobieta siedząca niedaleko mnie.

– Ucis� się, frajerze, nie mam ochoty Ciebie słuchać! Wsiadź z pociągu! – poleciało też kilka niecenzuralnych słów. Takich słów, że zrobiło mi się naprawdę żal chłopaka. Za to on nie odpowiedział jej tym samym, tylko grzecznie zwrócił uwagę, że nie może go wyzywać od głupich, ponieważ go nie zna. Rzeczywiście ma donośny głos i rzeczywiście wypił, ale potrafi zachowywać się kulturalnie, nie przeklinać. Miał rację, zachowywał się odpowiednio. Dyskusja urwała się, gdy kontrolerzy biletów wyprowadzili go na policję z powodu braku dokumentów. W tym momencie ludzie odetchnęli z ulgą. Jedyną istotą, która się zaniepokoiła, był pies Wiktor, który jako jedyny dostrzegł w tym chłopaku dobre serce.

Gdy po raz kolejny wspominał tę historię, wydaje mi się ona smutna. Może Ci, którzy respektują prawo i nie tolerują tych pijących alkoholu, nie przyznają mi racji. Smuci



mnie to, że chłopak, który nic nie zrobił, został tak potraktowany i tak oceniony. Patrzyłam później w twarz tej nieznamomej Pani i zastanawiałam się, czy mnie też by nazwała „frajerem”, bo miałam dwie wielkie wypchane torby.

Jest jeszcze jeden fakt – zachowanie Wiktora. Nie znam się zbyt wiele na przyzwyczajeniach psów, bo do weterynarza mi daleko. Jednak mam wrażenie, że to właśnie zwierzęta potrafią odkryć w ludziach albo głęboko ukryty strach, albo wewnętrznie skrywane dobro. Myślę, że ten proces zadział się i tym razem, bo naprawdę nie wierzę, żeby zwierzę tak spokojnie i radośnie reagowało na dotyk złego człowieka. Dlatego smuci mnie ta ludzka nietolerancja wobec innych. Tak jakby nie można było przesiedzieć kilku minut śmiejąc

się, bo dwudziestolatek celowo (chyba) swoim zachowaniem rozbawiał innych podróżujących. Ta Pani oszczędziła stresu wszystkim, bo naprawdę w pociągu po jej wypowiedzi zapanowała dość nieprzyjemna atmosfera.

Nie chcę w tym miejscu degradować znaczenia człowieka, lecz zastanawiam się, czy czasem nie lepiej pomyśleć i zamienić się w takiego Wiktora, by ze spokojem reagować na każde ludzkie stworzenie Boże. A przynajmniej zanim nazwie się kogoś bezpodstawnie frajerem.

KAROLINA DANECKA
MŁODZIEŻOWE KOŁO DZIENNIKARSKIE

Wrogi element, lat cztery – część I

Na lekcjach historii temat wywózek na Syberię traktuje się „po macoszemu”, a przynajmniej jako uczeń mam takie wrażenie. Kończy się zwykle na datach i suchej informacji. Wydarzenia smutne, przykre, dramatyczne, dla wielu zakończyły się tragicznie. Wśród nas są osoby, które pobyt tam przeżyły. Jedną z nich jest pan Stanisław Berkowicz. Zapraszam do przeczytania Jego historii.

Druga wojna światowa wybuchła we wrześniu. Polska została zaatakowana z dwóch stron: Niemcy wkroczyli z zachodu, Rosjanie ze wschodu. Podzielili się nami mniej więcej sprawiedliwie, tak im się przynajmniej wydawało. Mniej więcej do 1940 roku w zasadzie nic się więcej nie działo prócz porozumień między odpowiednimi służbami niemieckimi i rosyjskimi w celu złamania jakiegokolwiek oporu, zniszczenia bezwzględne. Wtedy dokonywano strasznych morderstw profesorów, urzędników, kogo się dało. Tu była pełna współpraca.

W późniejszym okresie w Rosji krążyła dyktoryjka, jak to Rosjanie byli dobrzy, a Niemcy źli. Opowiadano tak: gdy szły transporty pociągami towarowymi z Rosji, to stukot kół był ciężki, świadczący o bardzo dużym obciążeniu, bo wagony wiozły tzw. różpszenicę, czyli żyto i pszenicę, natomiast jak szły transporty do Rosji to leciutkie, takie „pyk, pyk, pyk, pyk”. Cóż one wiozły? Pudraspiczki, czyli puder i zapalki. Taka była propaganda wzajemnej współpracy już po wkroczeniu Niemców do Rosji. Przedtem była idealna harmonia.

Jestem wrogiem

Los naszej rodziny zaczął się w momencie, kiedy Rosjanie wkroczyli na tereny Kresów. Mieszkaliśmy wtedy w województwie wileńskim, powiat brasławski, w miasteczku Miory. Rosjanie poczuli się na tych terenach pewnie. Polityka Stalina głosiła, że zdobyte tereny należało oczyścić z wrogiego elementu, a wrogi element mógł okazać się zarówno starszy mężczyzna, jak i niemowlę. Jak oczyszczano? Wywożono na wschód, na Sybir. Zresztą od czasów

carskich ten kierunek zawsze miał powodzenie.

Po wejściu Rosjan życie na Kresach oczywiście się zmieniło, ale szkoły jakoś funkcjonowały. Moja mama była nauczycielką, a tata sekretarzem gminy. Oczywiście byli to wrogowie ludu, jakżeby inaczej. Chodziły pogłoski, że będą wywózki. Mama nas wysłała, całą trójkę (bo mam starszych brata i siostrę), do stryjka na wieś. Zawsze lepiej, żebyśmy się w oczy nie rzucali. Sama została w mieście. Uczyła rysunku, śpiewu, więc była w miarę nieszkodliwa.

Myśmy u tego stryja byli, aż pewnego dnia przyjechało dwóch żołdatów. Stryjowi powiedzieli tak: masz 15 minut na zebranie się, odwieziesz dzieci do matki. Wujek wiedział, czym to pachnie. Dawniej nie było materacy, tylko sienniki, wobec czego wziął nóż, rozpruł sienniki, wyrzucił słomę i trzy takie worki zapakował czym się dało: ubraniem, jedzeniem – co uważał za stosowne. Wwalił to na wóz, nas trójkę ubrał w miarę ciepło i powieźli nas do mamy, ale nie do domu, tylko już na dworzec. Ciocia Jadzia, siostra mojego ojca, młoda kobieta, bardzo odważna i dzielna, chciała z nami jechać na Sybir, ale Rosjanie stwierdzili, że jak jej nie ma na liście, to won.

Podróż do Nigdzie

Trochę żeśmy czekali na transport. Znaczący transport był taki, że zajechał ogromny ciąg wagonów towarowych, część to były węglarki, czyli bez dachu, i w to się ładowało ludzi, tak do oporu. Przypomina mi się drobny fakt. Otóż gdy czekaliśmy na tej stacji, to pilnowali nas żołnierze. Różni byli, jak to ludzie. Podszedł do mnie taki młody i mówi: o malczyk, malczyk, zobaczę, czy ci będzie do twarzy w mojej wojskowej czapce. Założył mi ją na głowę, a ja podobno wzięłam tę czapkę i szurnałam na ziemię, stwierdzając, że taka mnie nie interesuje, bo jest bez orzełka. To się mogło źle skończyć, bardzo źle. Ale żołnierz okazał się człowiekiem. Po prostu szybko zabrał czapkę i wyszedł, żeby nie robić zamieszania. Ognisko zapalne dzięki niemu zostało szybko wygaszone, bo mogliśmy nawet nie dojechać na ten Sybir. Szczęśliwie załadowali nas i wio!

Jestem z 1936 roku, miałem wtedy 4 latka, więc coś nie coś jednak pamiętam. Podróż trwała bardzo długo, około



Najważniejszy dzień w życiu Księdza

Z pewnością gdybym Cię, Drogi Czytelniku, zapytała, czy wydarzył się w Twoim życiu jakiś istotny dzień, powiedziałbyś mi, że tak. Dla niektórych były to narodziny dziecka, sakrament bierzmowania lub kilka innych sytuacji. W każdym razie dzień był na tyle istotny, że na długo zapadł w pamięć.

W sobotę 25 maja sama byłam świadkiem takiego wydarzenia. Być może niewielu będzie pamiętało, że tego dnia akurat nad Warszawą zawisła wielka czarna chmura, z której przez równe 24 godziny nie przestawało padać. Jednak to nie to świadczyło o wyjątkowości tej soboty. Dzień ten był bardzo ważny szczególnie dla Archidiecezji Warszawskiej. Właśnie wtedy w Archikatedrze Warszawskiej św. Jana Chrzciciela miały miejsce święcenia kapłańskie. Dar ten przyjął 21 diakonów, w ten sposób kontynuując swoją przyjaźń z Bogiem, lecz jednocześnie zaczynając nową misję, której celem jest odpowiednie kapłańskie życie.

Wraz z byłymi „pyzowkówcami” zostaliśmy zaproszeni, ponieważ tego dnia święcenia przyjmował były kleryk, który opiekował się nami na kilku z wakacyjnych wyjazdów – ks. Piotr Hejna, a także ks. Bartek Urbanowicz, który w naszej parafii odbywał praktyki.

Pomimo wielkiej chmury kościół był przepełniony. Rodzina, przyjaciele, inni księża, wszyscy przybyli, by towarzyszyć diakonom w tym najważniejszym dniu ich życia.

miejsca. Jechało się i jechało, bo dość często były długie przestoje z różnych powodów – często technicznych, ale również na tych postojach pasażerowie, jeśli nas można było tak nazwać, mogli się zaopatrzyć w kipiatok, czyli wrzątek. Bardzo popularna „potrawa” na wschodzie, bo to była jedyna, że tak powiem materia, która posiadała w sobie jakiś zapas energii, jakieś kalorie. Na tym można było zaparzyć herbatę albo wsypać kaszę i zrobić coś do jedzenia. Z tego, co jak przez mgłę pamiętam, wynoszono również ludzi, którzy nie przetrzymali podróży, po prostu trupy. Oczywiście zamykali nas na głucho między stacjami, żeby broń Boże ktoś nie uciekł.

W końcu przyszedł dzień, że pociąg się zatrzymał, ale jakby to powiedzieć... nigdzie. Nigdzie to znaczy, że dookoła nie było nic. Ziemia zarośnięta nawet nie lasem, jakimiś krzakami. Wygruzono cały transport, pociąg zagwizdał i pojechał. I taka kupa ludzi została i czekała nie wiadomo na co. Wkrótce zaczęły przyjeżdżać samochody, furmanki, traktory z przyczepami, różne środki transportu, jakie tam mieli do dyspozycji. Zaczęli zabierać po kilka rodzin, tyle, ile się mieściło, i rozwozili nas po różnych miejscowościach. Myśmy trafili do wsi Bieskamyszka w północnym Kazachstanie. Wyładowali nas i pojechali.

U Dziada

Właściwie nie było żadnego przydziału, ale miejscowi ludzie brali przyjezdnych. Wprawdzie uważano nas za wolnych, ale według propagandy radzieckiej byliśmy kułakami, elementem bardzo niedobrym. Ludzie trochę z cie-

Wydaje się, że wyświęceni kapłani przyodziani w złote szaty są zupełnie innymi osobami, niż ci diakoni, którzy mijali mnie na samym początku mszy. Jednak to nie te kilka godzin ich odmieniło, ale lata pracy, nauki i umacniania wiary, które spędzili w Seminarium i wybranych parafiach. A przemiana ta mogła się dopełnić właśnie w tym sakramencie.

Jednak wzruszenia nie zanikły wraz z końcem mszy, bo dopiero poza bramami kościoła wszyscy dali upust swoim emocjom. Na zewnątrz czekały tłumy. Ludzie zbierali się w grupach, oczekując na wybranego neoprezbitera. Widoczne były właściwie tylko tabliczki z imionami nowych księży: „Tommy”, „Damian”, „Jacek” – same zdawały się nawoływać. A kiedy „wyświęcony” pojawiał się, zaczynały się okrzyki, oklaski, muzyka, podrzucanie wybranego księdza – cała Starówka ożyła!

Kapłaństwo zawsze było odbierane z godnością, kojarzyło się z wieloma obowiązkami. Wiadomo, że nowych księży czeka wiele pracy, jednak nie tak trzeba wspominać tę sobotę. Przecież dla nich wszystkich była ona najważniejszym dniem w życiu! Dlatego też z tego miejsca gratulujemy wszystkim wyświęconym dzisiaj neoprezbiterom i życzymy Im, by zawsze podążali z nadzieją i ufnością za Panem.

KAROLINA DANECKA

kawości, trochę ze współczucia, a również z tego, że Polacy mieli ze sobą sporo ubrań, nie odizolowywali się od nas, dawali mieszkanie. Na widok tych ciuchów oczy im się robiły jak złotówki. To było dla nich coś niezwykłego.

Najpierw mieszkaliśmy u chłopca zwanego Dziadem, który nie zapisał się do kolchozu, tylko był to tzw. adionolicznik, czyli indywidualista, oczywiście bardzo krytycznie oceniany przez miejscowy aktyw. Wykwaterowano go z jego drewnianej chaty, w której zrobiono urząd kolchozowy. Wybudował więc sobie ziemiankę. Na tamtym terenie były to podstawowe budynki. Tworzono je w ten sposób: robiono podwójny płot z plecionki, z gałęzi, wypełniano ziemią i tak powstawały ściany. Oblepiano je potem gliną z jednej i z drugiej strony. Zostawiano otwór na okno. Dach był jednostronnie pochylony i obłożony darnią. Wiadomo, co się działo na wiosnę, gdy się zawczasu nie usunęło śniegu z dachu – przeciekał.

Więc on taką ziemiankę dużą wybudował, gościło tam kilka rodzin. Myśmy byli z Polski, była rodzina ukraińska, dwie Żydówki i Niemcy. Wszystko fajnie, gdyby nie tłok. Pamiętam taką przygodę dziecięcą. Ziemianka miała piwnicę. Podłoga była zrobiona ze stosunkowo cienkich żerdzi, jednostronnie ociosanych. Nie była szczelna, ale jakoś się po tym chodzić dało. Był kwiecień, więc jeszcze za zimno, żeby nas wszystkie dzieciaki wysadzać gdzieś na dwór pod krzaczek, dlatego wykorzystywano różne naczynia jako nocniki. Rano pod ścianą stał rząd garnków wypełnionych wiadomo czym. I byłoby wszystko w porządku, gdyby ktoś ze starszych, cięższy, nie nastąpił na niewłaściwą żerdź. Wszystko się metodą domina poprzewracało



i zawartość poszła do piwnicy. Na początek nikt tego nie zauważył. Dopiero po jakimś czasie wybuchła straszliwa awantura, gdy kielki kartofli zaczęły wychodzić szparami w podłodze. Draka była nie z tej ziemi, awantura, przekleństwa szły całą dostępną gamą.

Dymi i grzeje

Drugie miejsce, gdzie mieszkaliśmy, było u pani Marii. Też lepianka, ale wygodniejsza. Myśmy tam byli chyba jedyną rodziną. Zawsze ustawiano na podwórku wielki mosiężny samowar. Bardzo obrazowe to było, ciekawe jak dla dzieciaka. Dymiło, parowało, a potem z kranika można było sobie nalać herbaty.

Trzecie miejsce to było u Kryłowych. Syn tych ludzi był w armii, przychodził w czubatej czapce. Mieli bardzo kąśliwego młodego gąsiora. Brał go za łeb, kręcił, kręcił i wypuszczał w górę. Widziałem, jak gąsior na pewnej wysokości rozkładał skrzydła i lądował. Tam też zobaczyłem, co to są tzw. pałacie. Piec był niezmiernie ważną rzeczą w domu, bo służył do gotowania potraw, pieczenia chleba i spania na nim. Miał powierzchnię paru metrów kwadratowych, taki kłoc, w środku którego było palenisko. Na poziomie tego pieca była budowana platforma, czyli właśnie ta pałaca, na którą się wchodziło spać szczególnie w zimę, żeby nie zmarznąć, czy w lato, jak ktoś chciał mieć więcej miejsca. Pewnego dnia przyjechała karawana. Byli to ludzie wędrowni i trzeba ich było gdzieś przenocować. Zwalili się na tę pałacę i się urwała.



Syberyjska ziemianka

Sachalin

Tyle, jeśli chodzi o Biezkamyszkę. Potem z tego kołchozu przeprowadziliśmy się do sowchozu. Sowchoz to było państwowe gospodarstwo rolne. Tam życie było, że tak powiem, na troszeczkę wyższym poziomie. Osada leżała nad jeziorem sezonowym – raz było, a raz go nie było. Domy też w większości były lepiankami, ale do budynku, gdzie mieściła się sala, czyli klub, przyjeżdżało kino objazdowe. Na środku osiedla na dużym placu był sprzęt gimnastyczny. Jakieś drągi wiszące do podciągania, równoważenie, takie drewniane rzeczy. W sowchozie ulokowaliśmy się nieco z dala, po drugiej stronie jeziora. Stały tam dwa domy: barak i ziemianka, w niej zamieszkaliśmy razem z Rosjanami. Ponieważ miejsce było oddalone, mieszkańcy je nazywali Sachalin.

Chodziłem do radzieckiego przedszkola. Miałem duży problem nie tyle z dotarciem, bo mnie mama odprowadzała idąc do pracy, ale z powrotem, bo musiałem wrócić sam.

Droga była daleka, ale nic tam takiego by nie było, gdyby nie stado gęsi. Raz mnie gąsior napadł, skórę przetrzepał, wyskubał mnie dokładnie, także potem je omijałem dużym, dużym łukiem. Z ciekawostek: zimą zawiąło naszą chałupę tak, że odkopywaliśmy śnieg i robiliśmy schody i tunele do okien, żeby cokolwiek światła wleciało. Wtedy zupełnie dobrze zjeżdżało się z dachu na sankach.

Z tego okresu również pamiętam ogromny głód. Jadło się wszystko, co można było przeżuć i żołądek przepuszczał. Cały czas było się głodnym – raz bardziej, raz mniej. Bywały uczucia sytości, ale rzadko. Pewnego razu w przedszkolu, gdzie się spało jak w każdym, przyśniła mi się ogromna kromka pszennego chleba. Gruba, piękna, żółto-brązowa, w kolorach ciasta. Jadłem i jadłem, ale niestety się obudziłem. Poryczałem się wtedy jak bóbr.

Niedaleko domów były obory – krowy, świny, owce. Długie, długie baraki, takie jak się zwierzęta chowa. Tam przywożono czasami tzw. makuchy, czyli wytloki ze słoneczników, kawałki długości może centymetra, może mniej, może więcej. Wrzucano to bydłu. My żeśmy się podkradali i czasami się tej makuchy udało ukraść. Było to nawet smaczne, ale zjeść się za dużo nie dało, głowa bardzo bolała, także trzeba było uważać.

Mój starszy brat (urodzony w 1930 roku, więc był już nastolatkiem) właściwie spełniał funkcję opiekuna domu. Mama była osobą trochę niezaradną, życie ją oczywiście do jakiejś zaradności zmusiło, ale było wiele rodzin, które sobie lepiej radziły. Była ona duszą artystyczną, bardziej

w obłokach niż na ziemi.

Jezioro dla wszystkich

Jezioro, przy którym mieszkaliśmy, było podstawowym zbiornikiem wodnym, z którego wszyscy korzystali. Żeby chociaż trochę oddzielić bydło od ludzi, został wybudowany pomost w głąb jeziora, jakieś może 20 metrów. Bydło piło wodę z brzegu, a ludzie nabierali sobie na końcu pomostu. Taki był podział w lecie. W zimie nie było problemu, bo były przeręble.

Wykorzystywały je dzieciaki. Tam się robiło ślizgawkę. A ślizgawka była organizowana w sposób następujący: starsi chłopcy, czyli, ci którzy chodzili po wodę do przerębli, że tak powiem z urzędu, pierwsze dwa wiadra wylewali na brzeg. Woda ściekała i robił się gładki lód. Tam, gdzie się schodziło do jeziora, był lekki spadek. No, ale na czym się ślizgać? Ten problem został bardzo szybko rozwiązany, bo jak krowy przychodziły pić wodę, to oczywiście zostawiały ogromne placki. Wystarczyło tylko paroma kopniakami je zruszyć i była doskonała platforma do zjeżdżania.

Wtedy też nauczyłem się jeździć na łyżwach. Brat mój



nie wiem jak, nie wiem skąd, zdobył łyżwy. Nie były to łyżwy przykręcane, bo nie za bardzo było do czego przykręcać. Większość ludzi chodziło w walonkach, a do nich się przykręcić niczego nie da, za to można bardzo dobrze przywiązać rzemieniami. Mało tego, jeżeli taką przywiązaną łyżwę z walonkiem zanurzy się na chwilę w wodzie, to potem mróz robi z tego sztywniutki but. Pamiętam, że bardzo dobrze jeździłem na łyżwach w tych małych swoich walonkach, natomiast gdy przyjechaliśmy do Polski i usiłowałem jeździć na łyżwach w chwiejnych trzewikach, to w ogóle nie potrafiłem.

Pomosty były robione tak, że słupki wbijano do wody, kładziono jakieś poprzeczki, a na nie deski. I jak przyszła większa woda, to one się uniosły i popłynęły, bo nikt ich nie przybił. Pomysłowość ludzka jest nieograniczona. Starsi chłopcy zaczęli je natychmiast wykorzystywać jako tratwy, mój brat też. Oczywiście były o to wielkie kłótnie, bo jednak te pomosty były potrzebne. Ale mój brat jedną taką tratwę ukrył w trzcinie i pewnego dnia mówi: chodź, popływamy sobie na tratwie. Jakżeby nie. Fajnie się tym płynęło i nie bez pewnych korzyści. Otóż w tym czasie rosły białe lilie wodne. Nierozwinięty pąk przypominał trochę makówkę. Miał w środku całkiem smaczną miazgę, więc się je zrywało i jadło. W późniejszym okresie w lecie były jeszcze strączki akacji, ale to już było bardzo żmudne ze względu na wielkość.

Manna z nieba

Pewnej nocy zdarzył się cud. Nagle mama usłyszała mczenie krowy. Myślała, czy to sen czy co, wyszła jednak z domu, a tu patrzy: stoi krowa z wymionami pełnymi mleka. Oczywiście wydoiła ją natychmiast. To był cud, to była manna z nieba!

Mama chodziła do pracy, ale za wynagrodzenie można było tylko wykupić chleb (gniot, ale bardzo smaczny) na kartki. Racje były niewielkie: 500g dla osoby pracującej, 300 g dla członka rodziny. W normalnym życiu to by pewnie starczyło, gdyby żywność była normalna.

Udało się zdobyć centryfugę, maszynę, która na zasadzie odwirowywania oddziela śmietanę od mleka. Niestety była w koszmarnym stanie, pordzewiała. Myśmy z bratem kilka dni ją czyścili. Ale okazało się, że jakoś to funkcjonuje. Wtedy jeszcze krowy nie mieliśmy, ale najpierw sąsiadce przepuściło się mleko, okazuje się: jest śmietana! Więc zaczęli i inni przychodzić. Za usługę dostawaliśmy kubek mleka. Oczywiście co cwańsi przynosili małe kubki, ale się w końcu mama zezłościła i mieliśmy własny, miara była ustalona.

Dom za maszynę do szycia

Mama zaczęła uczyć w szkole. Znała niemiecki, więc uczyła tego języka. Również, ponieważ miała plastyczne zdolności, robiła firanki z gazet, takie wycinanki. Miały po-



Widok z Kotchozu

wodzenie i także jakieś z tego profity były. Potem zdobyła gdzieś maszynę do szycia. Nie wiem, jaki to handel był, za co, bo tam cały czas funkcjonowała wymiana barterowa, czyli towar za towar, pieniądze miały znaczenie formalne. Mama trochę szyła, ale nie za wiele, bo nie było z czego. Jakoś tak się złożyło, że poznała albo Chińczyków, albo Koreańczyków, w każdym razie to była rodzina Kików. Wybudowali sobie lepiankę w centrum sowchozu. Domek ich się wyróżniał dlatego, że dach pokryto trzciną – nie przeciekał. Chcieli wyjechać do Pawłowska, bo tam mieli zatrudnienie w spółdzielni, czy gdzieś indziej. I nastąpiła wymiana tego domku na maszynę do szycia. Czy Chińczycy, czy Koreańczycy, oni są bardzo skrupulatni, także domek był na prawdę bardzo, bardzo czystutki, miał duży ogród na zapleczu, aż do lasu, czyli jakieś 50 metrów. Ubikacja była na końcu ogrodu, specjalnie zrobiona, a to już w ogóle był luksus, bo nie w domu. I tam zaczęliśmy mieszkać. Już mieliśmy krowę, ta centryfuga nadal istniała, ale już głównie swoje mleko się przepuszczało.

Skazana rodzina

Co stamtąd pamiętam? Rodzinę Riabcewów, chłopaka, który był moim rówieśnikiem. Myśmy się kolegowali. Kiedy doszła wiadomość, że jego stryj, czy ojciec dostał się w niewolę, to mieli przechlapane. Było oficjalne zarządzenie Stalina, że rodziny żołnierzy, którzy oddawali się do niewoli, były pozbawiane przydziału chleba, wszystkich udogodnień, czyli właściwie podstawowych środków do życia. Był wielki szloch, wielki płacz, wielka rozpacz.

Dokładnie pamiętam dzień, kiedy coś zaczęło huczeć na mieście, ludzki tłum. Co się okazało? Był koniec wojny. Słoneczny dzień, krzyki, śpiewy, co się tam nie działo, czego ludzie nie wyprawiali. Wielka radość. Wszyscy myśleli, że to już koniec, że będzie lepiej.

WYSŁUCHAŁA I SPISAŁA
AGATA DĄBROWSKA





Władca Patyków

4

Dziewczyny

W poprzednim odcinku:

Maks wysłuchał opowieści o dokonaniach swojego starszego brata, który uratował Ludzi w Rajstopach przed Zimnymi Istotami. Chłopiec obiecał, że on ocali Królestwo przed Czarnym Rycerzem i jego Smokiem.

Obudził mnie nieprzyjemny dźwięk zwykle wydawany przez spadające garnki, gdy tata przypadkiem znajduje się w kuchni. Otworzyłem oczy i zobaczyłem nad sobą pomarańczową czuprynę Ignacego.

– Wstawaj, za pół godziny zaczynamy trening.

– Są wakacje, wolałbym jeszcze pośpać – odpowiedziałem sennie.

– Chcesz zostać wojownikiem czy nie? – Nie czekając na moją odpowiedź chudy chłopak wybiegł z namiotu.

Usiadłem i poczułem dziwny ból w plecach. Wczoraj po ognisku – bez – kiełbasek zakwaterowano mnie w niebieskim namiocie zajmowanym przez sześciu chłopaków, z których znałem tylko Ignacego. Dostałem materac wypchany słomą i wielką poduszkę. Teraz rozejrzałem się dookoła. Byłem sam. Wstałem więc i wyszedłem na zewnątrz. To był mój pierwszy poranek w obozie, nie chciałem zostawać w tyle od samego początku. Zobaczyłem grupę chłopaków w moim wieku idących w stronę rzeki. Podbiegłem do Ignacego.

– Co robimy?

– Musimy się wykapać, odwiedzić różowy namiot Greta, a potem znacznie się najgorszy dzień w twoim życiu. Podejrzewam, że nigdy wcześniej nie uczyłeś się walczyć.

– Jasne, że się uczyłem. Tata woził mnie na judo dwa razy w tygodniu.

Ignacy spojrzał na mnie krzywo, ale nic nie powiedział, tylko ściągnął bluzkę i z głośnym krzykiem wskoczył do rzeki. Podążyłem w jego ślady. Wrzeszczałem jeszcze głośniejsze. Woda była lodowata. Pozostali chłopcy śmiali się ze mnie i chlapali na wszystkie strony. Było nawet fajnie, może jednak mnie polubią...

Zabawa w wodzie to świetna sprawa, ale ciepłe bułeczki cioci Greta to sprawa dużo większej wagi. Już po chwili gnaliśmy do różowego namiotu, wokół którego roztaczał się słodki zapach. Ciocia powitała nas przed wejściem z tacą pełną pieczywa i dzbankiem najlepszego mleka, jakie kiedykolwiek piłem. Gdy już nabraliśmy sił, przyszedł czas na trening. Udaliśmy się na wyspany piaskiem plac, gdzie czekał na nas potężny mężczyzna z mieczem w rękę.

– No panowie, nareszcie jesteście. Dzisiaj pobawimy się w zapasy. Dołączcie się w pary.

Ignacy stanął obok mnie, więc uznałem, że już jesteśmy „dobrani”. Mężczyzna wybrał sobie najwyższego z nas – Franka, chwycił go za nadgarstek zrobił dziwny obrót i sekundę później chłopak leżał na piasku.

– Wszyscy widzieli? Teraz wasza kolej, ćwiczcie aż zacznie wam wychodzić.

Stanęliśmy naprzeciwko siebie z niepewnymi minami. Pierwsze próby kończyły się na tym, że obaj członkowie pary leżeli na ziemi. Usłyszeliśmy głośny śmiech. O drewniane ogrodzenie otaczające plac treningowy opierało się kilka dziewczyn ubranych w kwieciste sukienki. Upokorzeni otrzepaliśmy się z pyłu i spróbowaliśmy jeszcze raz. Teraz nasi łaskawi obserwatorzy trzymali się za brzuchy jedną ręką, a drugą zakrywali sobie usta. Trener odpędził je jednym machnięciem ręki niczym natrętne muchy, a nam kazał nie przerywać. Po pół godzinie byłem już zupełnie spocony i oblepiony piachem, ale starałem się nie pokazać po sobie, jak bardzo jestem zmęczony. Dopiero wtedy mężczyzna zaczął podchodzić do każdej pary po kolei i poprawiać nasze błędy. Z jego pomocą ćwiczenie zaczęło nabierać sensu. Potem nauczył nas kolejnych chwytów tak, że do południa mogliśmy przeprowadzić małe pojedynki. Wtedy wróciły dziewczyny. Już nie śmiały się tak głośno, ale nie wiedzieliśmy czy to dzięki postępom, które poczyniliśmy, czy raczej nie chciały narażać się trenerowi.

Gdy słońce stało się nie do wytrzymania, mężczyzna zarządził przerwę na kąpiel w rzece i szybką przekąskę. Już miałem biec z resztą chłopaków do wody, kiedy wielka dłoń spadła na moje ramię.

– Nie tak szybko, chłopcze. – Trener kucnął przede mną tak, że nasze oczy znalazły się mniej więcej na tym samym poziomie. – Słyszałem twoją wczorajszą deklarację. Wiem, że masz dobre chęci, ale one nie wystarczą, żeby pokonać Rycerza. Musisz się bardzo starać na treningach. Inni chłopcy przychodzą do mnie już od pół roku. Mam nadzieję, że traktujesz to zadanie poważnie i szybko nadrobisz zaległości.

Zrozumiałem, że nie było to pytanie, raczej polecenie. A trener nie był człowiekiem, z którym można by dyskutować, więc tylko kiwnąłem głową i pogałem co sił w nogach do rzeki. Tym razem wcale nie wrzeszczałem, zimna woda przyjemnie obmyła moje zmęczone ciało. Gdy wynurzyłem się na powierzchnię, na brzegu stała już ciocia Greta z koszykiem pełnym ciasteczek i jabłek. Rzuciliśmy się wszyscy na jedzenie, a potem leżeliśmy na trawie i wygrzewaliśmy się w słońcu.

– Cemu dziewczyny nie trenują z nami? – zapytałem chłopaków. Odpowiedzieli mi gromkim śmiechem.

– Nie wiem, z jakiego świata przybywasz, Maks, ale u nas panują normalne zasady. Kobiety nie mieszają się w męskie sprawy, a walka właśnie do nich należy – powiedział Franek. Był najwyższy i najsilniejszy i przez to czasami zdawało mu się, że jest też najmądrzejszy. Wiedziałem, że tak nie jest, bo przecież dziewczyny też umieją walczyć, ale wyglądało na to, że reszta chłopaków podziela jego pogląd.

– Panowie, do roboty! – głos trenera przerwał rozmowę, musieliśmy wrócić na plac. – Teraz czas na lekcję łucznictwa. Jak wiecie, to dzięki tej broni udało nam się pokonać Zimne Istoty, pokażcie, co pamiętacie z ostatnich zajęć.

Ustawiliśmy się przed rzędem tarcz, na znak trenera napięliśmy cięciwy



i wypuściliśmy strzały. Nie obawiałem się tego zadania, bo Olek uczył mnie w domu strzelać z łuku, jednak ani moja, ani żadna inna strzała nie trafiła w środek tarczy. Większość nie doleciała nawet do celu. Trener otarł pot z czoła i zrezygnowanym tonem ogłosił:

– Jeszcze raz.

Ta komenda powtarzał się nieustannie przez kolejną godzinę. Zmęczone ręce nie miały już siły napinać cięciwy, strzały spadały na ziemię coraz bliżej naszych nóg. Zza ogrodzenia znów rozległ się chichot dziewczyn, ale tym razem trener nawet nie spojrzał w ich kierunku. To Franek pierwszy stracił cierpliwość.

– Skoro jesteście takie mądre, to może same tu przyjdźcie i spróbujcie! – krzyknął cały czerwony.

Dziewczęta natychmiast ucichły, a chłopak uśmiechnął się złośliwie

i powiedział:

– Tak właśnie myślałem.

Wtedy najdrobniejsza z nich z jasnymi kręconymi włosami przeskoczyła zwinnie przez ogrodzenie, podszła do Franka i wyciągnęła małą dłoń po łuk. Skołowany chłopak podał jej broń i strzałę.

– Ma na imię Lotta, wszyscy się w niej potajemnie kochamy – szepnął mi na ucho Ignacy.

Patrzyłem oniemiały jak mała Lotta stała naprzeciw tarczy, znacznie dalej niż my wszyscy, napina cięciwę, zagryza usta i wypuszcza strzałę, która pędzi bardzo szybko i trafia w sam środek tarczy. Oczywiście musiało tak się stać. Jej towarzyszkami zaniemówiły – tak samo jak chłopcy i trener. Tylko ja nie byłem specjalnie zdziwiony, na judo była dziewczyna, która co zajęcia rozkładała mnie na macie.

– Kto cię tego nauczył? – zapytał

trener.

– Aleksander, chciałam ćwiczyć z chłopcami, ale pan mi nie pozwolił, więc on dawał mi indywidualne lekcje.

– Zapasy też trenowaliście?

– Też. – Dziewczynka przez cały czas słodko uśmiechała się do trenera, co chyba jeszcze bardziej wyprawdzało go z równowagi.

– Na dzisiaj kończymy – mruknął w naszą stronę. – Jutro chcę tu widzieć wszystkich, dosłownie WSZYSTKICH, spojrzał znacząco w stronę grupki przy ogrodzeniu i opuścił plac treningowy. Chłopcy spojrzeli na siebie zdezorientowani, a dziewczęta znów zaczęły chichotać.

C.D.N.

DELFINA MROZOWSKA

Media w praktyce

Ostatnimi czasy w mediach pojawia się coraz więcej ogłoszeń społecznych. Słuchając radia zauważyłam, że nie są to tylko informacje, że nie należy jeździć autem po alkoholu, pływać po alkoholu, że trzeba zapinać pasy bezpieczeństwa w samochodzie, ale buduje się świadomość społeczną na temat chorób, które bardzo często wykluczały ludzi z życia społecznego. I wykluczały nie tyle przez swój przebieg, odbierając sprawność fizyczną lub intelektualną, ale skazując takie osoby, sprawne i wartościowe, na ostracyzm.

PO PIERWSZE – dzieci i młodzież – stopdepresji.pl

Nie tylko dorośli chorują na depresję. To skomplikowana, złożona choroba. Diagnozę musi postawić lekarz. Psychiatra. To głównie dlatego źle mówi się i myśli o osobach z depresją. Bo póki chodzimy do psychologów, walczymy z naszymi słabościami na terapiach, wszystko jest w porządku. Gdy na horyzoncie pojawia się psy-

chiatra, znaczy że *stajemy się* nienormalni. Całkowicie błędne myślenie! Zresztą, czy Państwo też macie wrażenie, że chodzenie do psychologa jest swoistym wyróżnieniem w mniemaniu pewnych jednostek? Wiele osób sądzi, że bycie antyspołecznym jest nawet powodem do dumy – że jest to nieprzystosowanie do świata wywołane wrażliwością duszy i umysłu na piękno i to reszta ludzi właściwie powinna dostosować się do owej wybitnej jednostki, a co najmniej jej współczuć i wstęchnąć nad bólem istnienia. Bierze się to chyba ze zbyt dosłownego rozumienia genezy słowa psychologia. *Psyche* to nic innego jak dusza, *logos* – słowo, myśl, rozumowanie. Czyżby więc, idąc dalej tym tokiem myślenia, psycholog miał nam pomóc zmaterializować piękno naszego umysłu? Zaiste, ciekawy pomysł.

Psychiatra orzeknie, czy mamy do czynienia z depresją, czy nie. Jeśli okaże się, że ktoś wpadł w szpony choroby, skieruje na odpowiednie leczenie.

Młodzież jest szczególnie narażona na depresję, ponieważ w organizmie zachodzą liczne zmiany hormonalne, pojawia się konieczność podejmowania

dojrzałych decyzji i liczenia się z ich konsekwencjami. Zmienia się też obraz świata – wyraźne stają się problemy, realia, od których wcześniej, jako dzieci, byli odizolowani. Następuje utrata beztroski dzieciństwa i bunt przeciwko pewnym regułom i to wszystko sprzyja rozwojowi choroby.

Akcja „Stop depresji” ma na celu nagłośnienie możliwości pojawienia się depresji u dzieci i młodzieży, bo dotychczas *przywilej* ten mieli tylko dorośli. U pacjentów z pozostałych kategorii wiekowych zrzucono to na karb charakteru (jakoby flegmatyk) lub lenistwa („Weź się w garść i nie histeryzuj.”) krzywdząc ich w ten sposób, ponieważ jest to choroba wywołująca olbrzymie cierpienie psychiczne i prowadząca do skrajnych emocji i reakcji – można powiedzieć potocznie: nieludzka. Są podobno dwie postawy, które szkodzą szczególnie: niezrozumienie i nadmierne ochranianie osoby dotkniętej chorobą. Warto więc, w przypadku niepokojących objawów, skontaktować się z lekarzem – najpierw pierwszego kontaktu, żeby się go poradzić, a potem pójść do specjalisty.



Rodzina i przyjaciele

Równie ważne jest także wsparcie rodziny i przyjaciół. To z nimi osoba zmagająca się z sytuacją, w której się znalazła, spędza najwięcej czasu, i to oni najmocniej odczuwają skutki pogłębiającej się depresji – dla nich także nie jest to łatwe. Ale depresja jest chorobą, która, odpowiednio leczona, mija.

W przeciwieństwie do innej choroby, autoimmunologicznej, na temat której także prowadzona jest kampania społeczna mająca na celu *oswojenie* z nią społeczeństwa.

PO DRUGIE – nie ma co się załamywać – sm-walczosiebie.pl

Stwardnienie rozsiane (SM – sclerosis multiplex), bo o nim mowa, jest chorobą przewlekłą, w której uszkodzeniu ulega tkanka nerwowa ośrodkowego układu nerwowego (OUN). Demielinizacji (rozpadowi osłonek mielinowych) ulega osłona włókien nerwowych (mielina). Na skutek tego impulsy nerwowe nie są prawidłowo przekazywane wzdłuż mózgowia i rdzenia kręgowego.

Nazwa choroby wzięła się od stwardnień powstających na skutek gojenia się uszkodzonych osłonek mielinowych oraz tego, że ogniska są rozsiane w różnych miejscach OUN. Same uszkodzenia są skutkiem atakowania przez system odpornościowy komórek własnego organizmu, dlatego mówi się, że jest to choroba autoimmunologiczna – z autoagresji.

Od stwardnienia rozsianego się nie umiera, choć w niektórych przypadkach może sprawić, że traci się sprawność fizyczną i konieczny okazuje się wózek inwalidzki.

Stwardnienie przyjmuje kilka postaci:

- postać remitująco-nawracającą, gdy pojawiają się rzuty, które ustępują po pewnym czasie całkowicie lub w znacznym stopniu;
- postać wtórnie postępującą, gdy odnotowuje się pogarszanie zdrowia przez kolejne miesiące i brak wyraźnie oddzielonych okresów rzutów (zaostreżeń) i remisji (cofnięcia objawów);
- postać pierwotnie postępującą, gdy choroba od początku stopniowo powoduje pogorszenie stanu pacjenta i nie ma okresów remisji, cofnięcia objawów;
- postać postępująco-nawracającą, gdy w chorobie prócz stałego postępowania odnotowuje się także nagłe zaostreżenia choroby, czyli choroba się rozwija i w trakcie tego systematycznego rozwoju dodatkowo pojawiają się zaostreżenia, które jednak nie ustępują całkowicie.

Najczęściej osobom zmagającym się z chorobą dokucza ciągłe zmęczenie, nagłe osłabienie mięśni, uczucie drętwienia kończyn, skóry twarzy czy zespoły bólowe. Gdy choroba jest nieco bardziej zaawansowana, mogą pojawiać się także trudności z poruszaniem się i koordynacją.

Jednak trzeba pamiętać, że osoby chorujące na SM są w pełni sił intelektualnych. Choroba, choć utrudnia niekiedy funkcjonowanie, nie wyklucza z życia towarzyskiego i publicznego.

Istnieją sposoby leczenia, które spowalniają rozwój choroby, choć trzeba czekać w *kolejce po leki* refundowane przez NFZ (terapia interferonem jest droga) i gwaranto-

wane jedynie na 5 lat (informacje na 2013 rok). Jednak każdy rzut/atak jest leczony doraźnie.

Diagnoza

Postawienie diagnozy jest trudne – trzeba wykluczyć inne choroby podobne do SM, m. in. boreliozę, wykonać szereg badań, przede wszystkim rezonans magnetyczny głowy, także pacjenci różnie znoszą informację o chorobie. Najważniejsze jest jednak pozytywne nastawienie, ponieważ ze stwardnieniem rozsianym da się żyć, można założyć rodzinę i rozwijać swoje pasje. Oczywiście nie powinno się przeforsowywać organizmu, ale nawet zdrowe osoby powinny szanować swoje zdrowie.

SYLWIA PODBIELSKA



Szkoła

Szkoła – nie tylko lekcje, nauka
formulek, fizyka, historia czy sztuka,
nie tylko puste ściany przepełnione gwarem,
nie tylko coś, co jedynie kojarzy się uczniom
z koszmarem.

Szkoła – tu można odnaleźć siebie
wśród równań, teorii, gwiazd i ciał niebieskich na niebie,
na kartach, pośród słów, wierszy, historii;
pomaga wydobyć talent, pozwala go uwolnić.

Szkoła uczy nas życia, kontaktów, przetrwania,
realia przyszłego życia duszom młodziutkim odślania,
bo tworzą ją także ludzie, z którymi musimy znaleźć
drogę porozumienia, wśród tłumów się odnaleźć.

Szkołę więc można porównać chyba czasami do wody –
wśród ludzi leją się fale języka, zwyczajów, mody.

A wiedza? U jednych się tylko przeleje,
zostawi niewielkie ślady,
u innych niczym jezioro rozleje.

Matmo!

Matmo! Królowo wszystkich nauk!
Wszyscy już od małego poznają Cię pomału.
Wszystkie te liczby, cyfry, działania,
sumy, różnice, składniki w równaniach.
Dzięki Tobie wszystko możemy obliczyć,
bo cóż gdyby nikt nie umiał liczyć?

Matmo! Cesarska nauko!
Masz związek ze wszystkim: fizyką, historią i sztuką.
Przydajesz się każdemu:
dorosłym i dziecku małemu.
A jakże byś była jeszcze wspaniałą,
gdyby równanie zliczało się samo!

NATALIA PAJĄK

